

Fragment of a white label on the top left edge of the spine.

mijos

II

Fragment of a white label on the bottom left edge of the spine.

Joplish. 2.

S. Nig. 1060
Wittmann I-XIII
Kunstmühle 1060

TYGODNIK

ILLUSTROWANO.

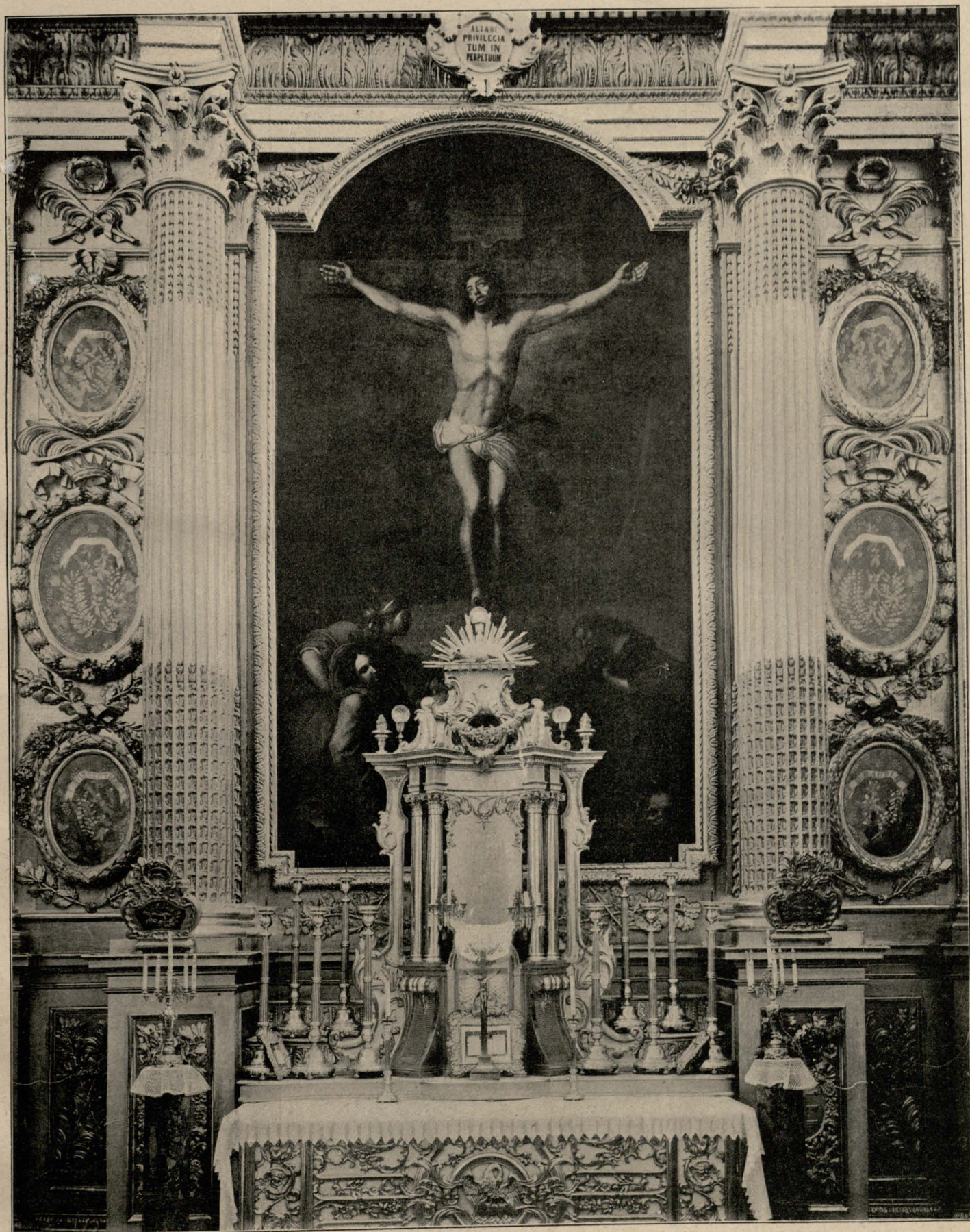
Rok 1909,
półrocze II-gie

Od n-ru 27-go do 52-go.

39155



TYGODNIK ILLUSTROWANY



CHRYSTUS W OLTARZU KOŚCIOŁA ŚW. KRZYŻA W WARSZAWIE
Obraz nowoodrestaurowany przez J. Janowskiego.

JERZY SEMIGINOWSKI (Eleuter) 1696

WŁADYSŁAW RABSKI:

Z trybuny realistów.

„Największym błędem polityki polskiej w stosunku do Rosji w ubiegłym stuleciu było to, że ludzie, kierujący, lub usiłujący kierować tą polityką, traktowali stosunek polsko-rosyjski, jako izolowaną grę między społeczeństwem polskim a rządem rosyjskim“

Temi słowami rozpoczął Roman Dmowski seryę artykułów, poświęconych w *Głosie Warszawskim* broszurze Erazma Piltza p. t. „Polityka rosyjska w Polsce. List otwarty do kierowników polityki rosyjskiej”. W tych słowach zawarta jest zasadnicza krytyka dawnej „ugody” i scharakteryzowana psychologia tego myślenia i czucia politycznego, które dziś jeszcze, pomimo uderzających pozorów powinowactwa ideowego, dzieli stronnictwo polityki realnej od stronnictwa demokracji narodowej i, co za tem idzie, stanowisko broszury od stanowiska krytyka.

Cały nasz „realizm” w starej i nowej formie uznawał tylko jedną linię politycznej roboty, tę mianowicie, która łączy bezpośrednio naród polski z rządem rosyjskim. Ta zależność i ten stosunek był niemal wyłączną podstawą wszystkich jego zabiegów. Umiejętną „rozmowę” z rządem uważano za szczyt rozumu politycznego i wpatrywano się tak hypnotycznie w ten punkt szczytowy organizacji państwowej, jakby to była jakaś w obłokach zawieszona potęga, niezależna od wszelkich ziemskich stosunków, nie ulegająca wpływom sfer, kół, opinii, nie skrępowana tysiącami względami sytuacji międzynarodowej. A uznawszy raz tę wązką ścieżynę za jedyną podstawę działalności politycznej, bagatelizowano oczywiście wszelkie inne czynniki i względy zewnętrzne i wewnętrzne, z którymi każda szerzej pojęta i wgłęb narodu sięgająca polityka liczyć się musi. Potępiono np. pamiętne manifestacje narodowe w roku 1891, jako psujące „rozmowę” z Petersburgiem, aczkolwiek te ruchy demonstracyjne były potrzebne, nie jako drażniący fajerwerk pod adresem rządu, lecz jako czyn samoobrony narodowej przeciw inwazyi radykalnego kosmopolityzmu, który groził zatruciem całych pokoleń, olśnionych jego protestem, męczeństwem i energią buntu.

Jeżeli tedy chodzi o skrytą psychologię tej grupy politycznej, której trybunem jest p. Piltz, a manifestem jego broszura, i która nawet dziś, pomimo występującego coraz wyraźniej uzależnienia kwestyi polsko-rosyjskiej od wpływów, względów i kombinacji ubocznych, zachowała z drobnymi wahaniami dawne linie swej polityki, to niewątpliwie krytyka Dmowskiego jest doskonałą analizą jej najgłębszej duszy. Tę duszę posiada także książka „o polityce rosyjskiej w Polsce”, — książka, która z pnia dawnej ugody wyrosła.

Ale czyż naprawdę chodziło w tej broszurze o polityczną propagandę doktryny naszej ugodowości? Są w niej stare melodie, są odruchowe przejawy tej samej indywidualności politycznej, która przemawiała do nas w pismach „Scriptora”, ale cel świadomy i górujący ostatniej broszury Piltza jest raczej informacyjny, niż stronnictwo-polityczny. To nie programowa obrona ugody, to nie

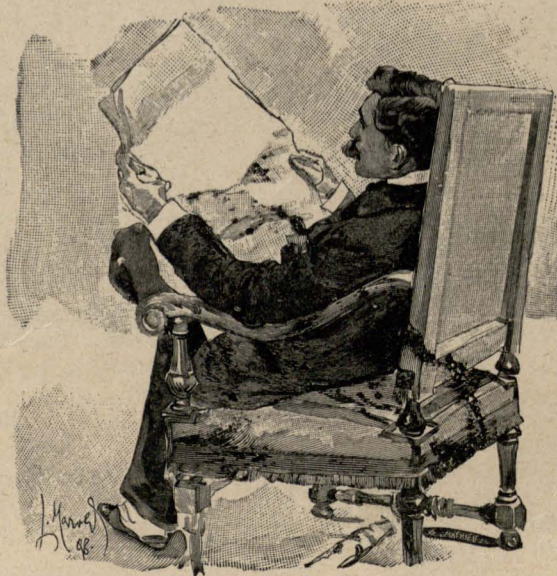
krytyka innych obozów w własnym społeczeństwie, lecz jakby odwołanie się *de papa male informato ad papam melius informandum*, lekcya historii, wykład o stosunkach polskich, „list otwarty do kierowników polityki rosyjskiej.”

Już w tym cudzysłowie możnaby się dopatrzeć śladów owej metody politycznej, którą Dmowski nazywa „największym błędem polityki polskiej”, lecz treść książki nie usprawiedliwia wcale tych obaw, które budzi tytuł w połączeniu z nazwiskiem autora. Nie warto chyba sprzeczać się o to, czy broszura skierowana jest pod właściwym adresem i czy posiada w tym adresie echa fałszywej doktryny, jeżeli naprawdę to wszystko, co mówi, może sprawie polskiej na gruncie rosyjskim przynieść choć mały pożytek. A powiedziano tam wiele. Może nie dla nas, bo życie, o którym mówi, jest naszym życiem najbliższym i dla Polaka nie ma żadnych tajemnic, ale dla tych, którzy Polski nie znają wcale, lub, co gorsza, znają ją tylko z pozorów, z piany, szumiącej na fali, z oderwanych od tła i źródła konwulsji i porywów narodowych.

Wydobyć z głębin życie prawdziwe, fałsze sprostować i mroki rozjaśnić, oto czego się podjął i co wykonał autor broszury.

Oczywiście Piltz jest zbyt przesycony poglądami i uprzedzeniami własnego stronnictwa, aby w jego charakterystyce stosunków nie było wcale akcentów tego obozu, któremu służy wytrwale, ale ze wszystkich prac politycznych, które wyszły z jego warsztatu literackiego, ta właśnie jest w sądach najspokojniejsza i w analizie przyczyn i skutków najpoważniejsza. Czy to mówi o polityce Wielopolskiego, czy o bojkocie szkolnym, czy o rządach demokracji narodowej, niema tam prawie nigdzie wojującej partyi, bo nad wszystkim króluje wojująca o swoje prawa i swobody Polska. Piltz nie zapomina ani na chwilę, że mówi do Rosji, a mówi nie jako satyryk, mściciel, lub trybun wiecowy, lecz jak ten, który myślących ludzi chce przekonywać i uczyć.

I oto w oświetleniu jego broszury cały akt oskarżenia przeciw grzechom Polski zamienia się w jakiś spokojny a mocny, jak prawda, dokument: „Nie nasza wina, lecz wasza”. I więcej jeszcze. Z żelaznej logi-



ki faktów wyłania się obraz narodu, który okazał niejednokrotnie zdumiewającą trzeźwość i zdumiewającą cierpliwość,—narodu, który nawet w najdzikszym tańcu rewolucyi zachował swoją równowagę,—narodu, który niczem nie usprawiedliwia „polityki zemsty”. I cała zasada „konieczności państwowej” okazuje się pustym frazesem, a cała metoda rusyfikacyi marnotrawstwem sił i sztucznym drażnieniem ropiejącej rany na ciele kolosa o glinianych nogach.

Byłoby naiwnością przypuścić, że broszura Piltza nawróci kogokolwiek z obecnych „kierowników polityki rosyjskiej”, których autor uważa według dawnej metody za jedyny czynnik, rozstrzygający o dalszym rozwoju kwestyi polsko-rosyjskiej. Polityka rządu jest zależna od różnych międzypartyjnych i międzynarodowych widoków i układów, wobec których wszelka lekcya historii i wszelkie prostowanie fałszów musi być narazie bezsilne, ale skoro nie wyrzekamy się nadziei, że zakuty w łańcuchy reakcyi parlamentaryzm odzyska kiedyś w Rosji swoje prawa, a życie konstytucyjne w miarę rozwoju narodowego przestanie być kopącym ogarkiem, więc tem samem musimy uznać potrzebę oświecania opinii rosyjskiej. O takie światło upominali się już niejednokrotnie przedstawiciele myśli liberalnej, i dobrze się stało, że zapłonęło nareszcie.

Może zresztą ta pochodnia, którą Piltz zapalił dla narodu rosyjskiego, odda także poważną usługę stronnictwu polityki realnej, które w skutek nieszczęśliwych pozorów, w skutek małoduszności lub złej woli zbliżonych do niego jednostek, dźwigało przez długie lata kłutwą ugody, posuniętej aż do rezygnacyi hańbiącej.

Przeciw takiej ugodzie protestuje i takiej ugody wyrzeka się z oburzeniem chorąży naszej prawicy.

„W stosunku rządu do nas — oto jego słowa—było jeszcze jedno nieporozumienie. W sferach miarodajnych utożsamiono ugodowość polską z godzeniem się na istniejący stan rzeczy; tego oczekiwano od ugodowców i dziwiono się niepomiernie, ile razy okazywało się przeciwnie. W Petersburgu nie chciano, czy nie umiano zrozumieć, że, stojąc na gruncie jedności i solidarności państwowej, różnimy się od innych grup politycznych polskich jedynie w pojmowaniu celów i środków politycznych, a nie różnimy się z nimi wcale w odczuwaniu potrzeb narodowych i kulturalnych i żadnej z tych grup ubiedz się nie damy w miłości ojczyzny. Godzić się z istniejącym stanem rzeczy to znaczy godzić się z uciskiem, z prawami wyjątkowemi, z upośledzeniem naszej narodowości i języka. Ale przecież walka z tem upośledzeniem i dążenie do uzyskania warunków prawidłowego życia narodowego jest właśnie racją bytu naszego stronnictwa”.

„Takich umiarkowców, takich realistów, takich ugodowców, jakichby pragnęli widzieć niektórzy unifikatorzy rosyjscy, niema w naszym społeczeństwie, a jeżeli są, to stoją oni poza obrębem polskiego narodu.”

JADWIGA MARCINOWSKA:

VOX CLAMANTIS.

2)

Elżbieta ma siłę. Z biodr, rozrośniętych szeroko, mogli się byli narodzić synowie dla Izraela; te piersi wykarmiłyby synów tęgich, to serce nieugaszonym płomieniem przelałoby się w dzieci.

Mocna jest w ciele i duchu.

Dlaczego taką właśnie Pan bezpłodnością pokarał i za co?

Upokorzył ją, jako w początkach Rachel, ale nie dzwignął i nie pocieszył na podobieństwo miłosierdzia, tamtej okazałego.

Oto już „podeszła we dniach swych”, pogrzebała wszelką nadzieję.

Ale nie pogrzebała bólu.

Przeżarł namiętną duszę, a sam nie stępiony żyje. Pali się w ciemnych oczach. Położył się w brózdach na czole, przejawia się czasami w raptownym drżeniu rąk.

Hałas u wrót za progiem, stąpają licznych bydła, głosy czeladzi, przybyli.

Co potem zaszło w duszach tych dwojga ludzi, mających wreszcie dosięgnąć szczęścia, wyglądane przez całe życie?

Zacharyasz, którego najpierwszym odruchem było okazane aniołowi słusznego zdziwienie: „Skądże to poznam? bom jest stary, i żona moja podeszła we dniach swych”, teraz, pokonany i przekonany znakiem niemości własnej, radował się niezrównaną słodyczą oczekiwania.

Aliści Elżbieta w olśnieniu szczęścia uwierzyła odrazu. Nie pytała, nie badała, nie dochodziła; w piersiach jej otwarło się morze blasku; wszystko stało się możliwością, słońcem i prawdą.

Uplętnęło parę miesięcy. W miejsce dotychczasowych przycinków, uszanowanie sąsiadek poczęło otaczać dostojną matkę, wyróżnioną przez tak niezwykle błogosławieństwo Boże.

Nie było dla izraelskiej niewiasty poniewierki i ujmę nad pozbawienie potomstwa, ale też w zamian i tryumf dosięgał szczytu, jeżeli dolę upośledzonej dzwignęła niespodziewanie łaska Pana. Spóźnione lata jeszcze przydawały znaczenia, sądzono bowiem, że nadzwyczajnym być musi dziecko, w takich okolicznościach powołane do życia.

Nagle Elżbieta zapragnęła usunąć się od tych oznak szacunku, przyjaźni i podziwu. Zapragnęła samotności i ciszy.

Dlaczego?

Rozpierało ją poczucie jakiegoś ogromu. Głucho wiedziała, że z tym ogromem połączona jest przyszłość dziecięcia, które nosiła w łonie.

Trzeba w cichości duchem uklęknąć przed tajemnicą. Może rozemkną się osłony.

Przytem najpotężniejszą tęsknotą tęskniła do tego syna. W odosobnieniu, w spokoju przyspieszy sobie chwilę. Bo oto bez przerwy i bez przeszkody pochylać się będzie, jak nad kolebką, nad swoim własnym łonem. Oto, jeszcze zanim uderzy obudzone serce dzieciny, bez przerwy, a z rozkoszą wsłuchiwać się będzie w tętnienie własnej krwi, donoszącej zasób tamtemu życiu. Wszystkie momenty dni,

tak spędzanych dokoła niej, śpiewać będą niewysłowione imię: matka! matka!

Niedaleko miasta na wzgórku stał właśnie domek ustronny, kędy czasami przemieszkowali we skwary letnie; tam się udała w towarzystwie paru służebnic.

Poczęły płynąć tygodnie bardzo cicho. Niebawem w powietrzu zapowiedziała się wiosna. Figi napęczniały listowiem młodem, jęczmień zieleńił się już bujnie na smugach górskich pól.

Natomiast Elżbietę ogarnął ten niepokój, który się zwykł przejawiać na progu do wielkiej wiedzy. Z myśli jej nie schodziły słowa

Naraz wyłączyła się z tego grona smukła postać dziewczęca i, przyspieszając kroku, zmierzała najwidoczniej do wrót domostwa.

Wtedy stało się coś, jak wstrząśnienie, jak błyskawica, jak rozemknięcie strzeżonych długo drzwi. W jednej niewysłowionej chwili brzemienna znalazła się na dole, przed progiem swego dworca i wyciągnęła ręce, wołając dziewczę z Nazaretu:

„Błogosławionaś ty pomiędzy niewiastami, i błogosławion owoc żywota twego...”

Teraz wiedziała, do jakiej wielkiej służby narodzi się dzieciątko, którego pierwsze ruchy uczuła, bowiem—„skoczyło od radości”.

* * *

Gdy trzej magowie, przybysze z krain wschodu, zatrwożyli serce Heroda opowiadaniem o gwieździe i zwiastowanym królu żydowskim, wydany został, jak mówi Pismo, nakaz „pobicia wszystkich dzieci od dwu lat i niżej, w Betleem i po granicach jego”.

A tradycja w dodatku opowiada, jak siepacze, wypełniając to polecenie, wtargnęli i do miasta, kędy znachodził się dwór Zacharyasza. Prawdopodobne to jest, gdy się zważy na parogodzinną zaledwo odległość pomiędzy Ain-Karim a Betleem.

Owoż wtargnęli siepacze.

Czy słyszemy przeraźliwy krzyk matek, nie mających się nigdy pocieszyć?

Elżbieta porwała synka na ręce. Jest wpośród domu swego, ale wie, że dom nie osłoni.

Poprzez odległość wieków uszu naszych dochodzi to straszne bicie zatrwożonego śmiertelnie serca.

Żołdacy już we wrotach.

Tu rozdwa się pasmo tradycji. Według jednego opowiadania matka ukryła dziecię za wielkim głazem, a Pan Bóg spuścił na szukających zaślepienie, że nie widzieli. Dzisiaj kamień, wrzekomo ten sam, wmurowany jest w ścianę kościołka „Narodzenia”.

Druga wersja, piękniejsza, ukazuje nam matkę ściganą przez siepaczy. Wybieżała za miasto. Obu rękami przyciska do zdyszanej piersi skarb, dziecko. W szalonym pędzie miga przed oczyma naszymi ciemno-szafirowa suknia i biała osłona, odzienie, które do dziś dnia noszą niewiasty w tej okolicy.

Naprzełaj bieży nieszczęsna, przed siebie, w pustkowie a góry. Dobywa ostatnich sił. Za chwilę upadnie na kamienie. A ścigający tuż...

Natenczas przejmujący krzyk: „Skało! o! roztwórz się, twarda skało! przyjmij matkę i dziecię!”

I—skała, litościwsza od wielu serc ludzkich, roztworzyła się rzeczywiście, ochroniła matkę i dziecię.

Dopiero późnym wieczorem, gdy przemienęła wszelka obawa, wydostała się Elżbieta z cudownego ukrycia. Cicho było. Gwiazdy migotały w głębokim niebie. Mrok nie dozwalał rozejrzeć się w okolicy.

Matka ocalonego musiała osunąć się na ziemię w głębokim podziękowaniu przed Panem.

Ale także osunęła się w trwodze.

Bo wiedziała, że nie wolno jej powrócić do miasta pod groźbą narażenia dziecięcia,



Śty Jan Chrzciel, płaskorzeźba z XVIII w., w katedrze Św. Jana w Warszawie. Fot. Z. Marcinkowski.

anioła, wypowiedziane Zacharyaszowi czasu widzenia:

„Nawróci wielu synów izraelskich ku Panu Bogu ich...”

„Uprzedzi... w duchu i mocy Eliaszowej...”

„Iżby zgotował Panu lud doskonały...”

Zanadto powszechnem i wytężonem stało się w tej epoce oczekiwanie Mesjasza, aby niewiasta nie zrozumiała ogólnego znaczenia tych wstępnych słów.

Nie tylko w powietrzu odczuwało się blizką wiosnę.

A wszakże niespokojnością przejmował dotknięty, nie podniesiony rąbek potężnej tajemnicy; wszystko matczyne serce z cierpieniem wyglądało, rychło po onym wstępie rozbłyśnie królewska, jasna, dopełniająca wieść.

Była wczesna godzina i migotanie rosy w skośnych promieniach powstającego dnia. Poranny świergot jaskółek otaczał Elżbietę, zażywającą przechadzki na płaskim dachu domu. Nagle spojrzenie jej padło na dostrzegalną ślad drogę. Kilka osób wstępowało pod górę powoli.



KAIN (własność prof. hr. Mycielskiego)
Z wystawy starych mistrzów w Krakowie.

FR. STUCK

a nie wiedziała, jakim okaże się pustkowie,
kędy z dziecięciami żyć wypadło.

* * *

Nazajutrz błogosławione poranne słońce
oświetliło ojczyznę, którą Pan Bóg wyznaczył
młodocianym latom proroka. Uspokoila się
dusza matki.

W pośrodku gór na łagodnym zboczu wy-
tryska źródło i spływa o parę stóp poniżej do
wyżłobienia w rodzaju okrągławej, dość ob-
szernej sadzawki. Dookoła na stokach, po-
między kamieniami, wiotkie gałęzie krzewów
i pojawienie się traw, a od tego kładą się na
srebrzystej wodzie refleksy cudnie zielone.

Po prawej stronie sadzawki znajduje się
pieczara. Ołtarz wzniesiono tam na miejscu,
kędy, według podania, prorok przepędzał noce.
Nieco dalej, już pod otwartym niebem jest ka-
mień, na którym znowu odpoczywać miał cza-
sem w przeciągu dnia.

Grunt, jak wszędzie, skalisty, lecz tu
i owdzie pokryty warstewką urodzajnej ziemi.
Więc rosną figi, oliwki, tudzież okrągłolistne
drzewa, wydające strąki pożywne, które lud
u nas nazywa „chlebem św. Jana”. Murawa
ściele się, przetykana drobnutkiem, białem
i ciemno-niebieskiem kwieciem. Bujniej wy-
kwitają maczki ponsowe.

Wszystka miejscowość odległa jest od
Ain-Karim o jakąś godzinę pieszej drogi.

Ewangelia św. Łukasza mówi: „Dzieciątko
rosło i umacniało się Duchem i było na pu-
styniach, aż do dnia okazania swego przed
Izraelem”.

Tradycja rozdwa się ponownie. Według
pierwszego pasma Elżbieta umarła w kilka

miesiący po swoim przy-
byciu na „pustynię”. Je-
dnakże danem jej było wi-
dzieć gasnącemi oczyma,
jak zlecieli przysłani anioł-
kowie niebiescy, aby służyć
sierotce, karmić, osłaniać
i piastować. Więc odeszła
w pokój.

Drużga wieść chwilę
śmierci odsuwa aż do cza-
su, gdy Jan rozpoczął rok
siódmy, a musiało być krzep-
kiem to dziwne dziecię, „kar-
mione miodem leśnym”, a
„umacniane Duchem”.

Na szczycie góry znaj-
duje się kapliczka, zawie-
rająca wrzekomy grobowiec
Elżbiety.

Po odejściu matczy-
nem snuło się w samotno-
ści to wychowanie tak nad-
zwyczajne, w którym ży-
wiła puszcza, patrzyło słoń-
ce, a nauczała bezpośred-
nio potęga Jehowy.

Jan jeden jest i, jako
zjawisko w dziejach ludz-
kości nie powtórzone, a stąd
wynika, że warunki jego
życiowe także jedyne.

Chrystus, gdy, jako
„Syn człowieczy”, chciał
się stać wszystkim dla
wszystkich, nachylił się do
wszystkiego; dziecięce Je-
go lata upłynęły codzien-
nym sposobem w otocze-
niu rodziny.

Inaczej Jan, *vox clamantis*, człowiek, a uro-
dzony do wyłącznego celu.

Właściwie, nie tyle człowiek, co głos.
Wszakże wieki złożyły się na to, by wreszcie
przyszedł mający być ich pospólnym i na-
brzmiałem, niezagłuszonym wołaniem.

Ewangelia powiada nam o Synu czło-
wieczym, że był kuszony trzy razy. A Jan?
Pismo nie wspomina, tradycja milczy.

Wolno przypuszczać, że nie. Zgadza się
to z całokształtem wyjątkowej postaci. W nie-
wielu dochoowanych rysach Chrzciciela nie-
masz nigdzie nic, coby wskazywało przebyta
walkę, załamanie czy pamięć osobistego bólu.

Jan był ześrodkowaną i wyrażoną tęskno-
tą Abrahama, Izaaka i Jakóba. Wszystkie wła-
ściwości jego natury zestrzeliły się w tym kie-
runku, napięły się wszystkie moce. W zielo-
nem wonnem pustkowie rosło to dziwne dzie-
cię; kąpała je chłodna rosa, a wiatr opalał pół-
nagie, silne ciało.

Przyszły lata młodzieńcze, odzwierciedli-
ły się w jasnej wodzie wybujałością linii, jak
smukłość młodego drzewa.

Zastona jest nad szeregiem samotnych,
przygotowawczych dni i nocy, jeno przy myśli
o tem zda się nam, że słyszemy pełno orlego
szumu.

Bóg przyspasobiał proroka.

A gdy nastala godzina, podniósł się Jan
samotnik i, jak go dzisiaj widzimy, wszystek
ogromny, wszystek jakoby z jednej bryły, wy-
szedł na świat, wołając: „Prostujcie ścieżki
Pańskie!” *Vox clamantis!*



HENRYK ZBIERZHOWSKI:

DZIECIAK.

Domek—sztachety białe—mały trawnik,
Jak aksamitny dywan, krótko ścięty—
Na niebie chmury białe, jak okręty,
I słońce, w blaskach płonące, jak krwawnik.
Na ścieżce, pełnej słonecznego blasku,
Bawi się dzieciak—plama kolorowa—
Oczy—dwie gwiazdy, w lokach główka płowa,
Drobne paluszki grzebią w srebrnym piasku.
Spokój wieczoru cały ogród zaległ,
Po którym tylko śmiech dziecięcy dzwoni.
Z cichym szelestem biały kwiat jabłoni
Spada na ścieżkę i na główki lalek.
I w zachodzącym promieniu słonecznym
Złoci się dziecka tajemniczy świeatek,
Gdzie dużym drzewem jest najmniejszy kwiatek,
A szara mrówka gadem niebezpiecznym.
Zachód purpurą szczyty sosen krwawi
W objęcia sobie upadają kwiaty.
Na chmurach złote rozkwitają światy,
Bóg się uśmiecha, gdy się dziecko bawi.
I zapomniane modlitw szumią słowa...
O drobne, w piasku zanurzone rączki!
O włosy, w złote skręcone obrączki!
O główko moja, droga główko płowa!

SZYMON TOKARZEWSKI:

ZE WSPOMNIENI KATORŻNIKA

SUANGO.

3)

— Ale! ale!—mówił dalej Borys.—Byłem
też w kancelaryi plac-majora, i pisarz Diagle-
lew polecił mi doręczyć panu to...—podał mi
zapieczętowaną kopertę.—Antonycz posłuży
i kupi, co będzie potrzeba... Tymczasem w mo-
jej nieobecności radźcie sobie, jak możecie.
No! bywajcie zdrowi! do zobaczyska, dzieci!

— Kłaniamy się nisko waszemu wysoko-
błagorodiu. Szczęśliwej drogi! — wykrzyknęli
rekonwalescenci.

Obok mnie leżał przychodzący już do
zdrowia katorżnik Łomow. Siłacz, zawadyaka,
olbrzym, o którym gadano w ostrogu, że ka-
żdej chwili gotówby był zarznąć człowieka, by-
leby za cenę tego morderstwa mógł uraczyć
się wódką.

Po wyjściu doktora Borysa rozpieczęto-
wałem daną mi kopertę. Zawierała trzy ruble.

Wsunąłem je napowrót do koperty, którą
schowałem pod poduszkę.

To czyniąc, zauważyłem w oczach Ło-
mowa jakiś płowy błysk... wnet zgasał, ale ka-
torżnik uważnie śledził każdy mój ruch i na-
głe zaczepił mnie pytaniem o zdrowie. Grzecz-
nie, ale krótko odpowiedziałem, ogromnie zdzi-
wiony, że Łomow usiłuje dłuższą ze mną za-
wiązać gawędę, widocznie przecież nie mogąc
w swej mózgowicy znaleźć do niej wątku.
Katorżnicy-zbrodniarze do nas, przestępców
politycznych, a zwłaszcza do nas, Polaków,
zwracali się bardzo rzadko, co najwyżej z urą-
ganiem, że my, szlachta, zostaliśmy „zdegra-
dowani w muzyki”. Przeto uprzejme manife-
stacje Łomowa tłómaczyłem sobie tem, że,
widząc u mnie trochę grosza, pragnie wyłu-
dzić traktament, albo pożyczkę, bezpowrotną,
ma się rozumieć.



ŹRÓDŁO RZEKI LOUE (własność ks. Lubomirskiego)
Z wystawy starych mistrzów w Krakowie.

GUSTAW COURBET

Zdecydowany byłem okupić się jednym, czy drugą, lub i traktamentem, i pożyczką, jeśliby tego zażądał.

Z tem postanowieniem usnąłem.

Śród nocy budzi mnie krzyk... a jednocześnie doznaję wrażenia, jakoby około mej, w miękkiej poduszce zagłębionej twarzy przesunęła się ciężka, kosmata łapa zwierza...

Przecieram oczy, siadam na pościeli i przy mdłym świetle zawieszzonego u pułapu kaganka, widzę staruszka - starowiercę, stojącego w pośrodku izby.

— Piąte przykazanie Boskie: „Nie zabijaj!”

— Siódme przykazanie Boskie: „Nie kradnij!”—woła staruszek, a głos jego, zazwyczaj cichy, o miękkiej śpiewnej modulacji, teraz grzmi surowo i głośno...

— „Nie zabijaj!” „Nie kradnij!”—powtarza i groźnie potrząsa prawicą, w stronę Łomowa zwróconą...

Ów tymczasem na swoim tapczanie leżał wyciągnięty. Olbrzymie jego cielsko rysowało się wyraźnie, lekką odziane kołdrą. Muskularne ramię podłożył pod kudłatą głowę, kosmata pierś dyszała szybko... Udawał, że śpi, i ani drgnął, chociaż starowierca ze środka izby podszedł ku niemu i, zatrzymawszy się u jego wezgłowia, powtarzał:

— „Nie zabijaj!” „Nie kradnij!”

Cud, że Łomow nie zmiądzzył wówczas wątłego staruszka, może z tej przyczyny, że inni rekonwalescenci, już też zbudzeni, zaczęli poruszać się na swoich pościach i ku nam spoglądać podejrzliwie, a ciekawie.

Nie mogłem już zasnąć po tej scenie, o której przecież żaden z nas nazajutrz nie wspomniał głośno. Tylko po izbie krążyły

ciche szepty, głuche pomruki i urągliwe ku mnie skierowane spojrzenia.

Posługacz Antonycz, były katorżnik, wciąż kręcił się koło mnie, proponując mi różne dogodności i „pokupki”.

Dziękowałem za wszystko. Miniona noc w najwyższym stopniu rozstroiła mi nerwy, a niemniej wiadomość, że w „stancji” kozackiej tyfus sroży się bardzo i że powrotu doktora Borysa nie można spodziewać się rychło.

„Naczalstwo” rozkazało felczerowi zastępować nieobecnego lekarza w szpitalu więziennym. Jakoż niebawem ów, przez plac-majora kreowany lekarz z wielką pompą, z hukiem i szelestem wkroczył do naszej izby, jak indyk, czerwony i nadęty, był katorżnik, piętnowany na obu policzkach.

Przestępcy kryminalni wogóle uważali ostróg za pewien rodzaj klubu, a współkatorżników za towarzyszków, do „wybitki i do wypitki” zawsze gotowych, a także do współdziałania w zbrodni, o ileby się nadarzyła sposobność. Byłych i obecnych katorżników łączyły pewne węzły sympatii, pewne powinowactwo w złem. Miano „bratan”, „nasz brat”, które sobie dawali nawzajem, rzeczywiście nie były to czcze wyrazy.

To też pomiędzy felczerem, posługaczem Antonyczem a Łomowem wnet zawiązało się porozumienie.

Gdy felczer w towarzystwie posługacza obszedł wszystkie łóżka i z komiczną powagą ordynował chorym rozmaite leki, mój sąsiad Łomow dzwignął się ze swego tapczana. I ci trzej godni siebie towarzysze wcisnęli się w głęboką na samym krańcu izby framugę, a tam, olbrzymim piecem zastonięci, długo

szeptali, kłócąc się, to chichocząc naprzemian, wreszcie nawzajem uderzali się dłońmi po dłoniach, niby kupcy, którzy kończą jakiś targ, jakąś zobopólnie korzystną umowę.

W humorach rozstali się ze słowami:

— Po równej części! po równej części!

Ciężka, burzą brzemienna atmosfera zaciążyła nad „izbą rekonwalescentów”.

Starowierca modlił się cicho, raz po raz powtarzając groźnie:

— „Nie zabijaj!”... „Nie kradnij!”...

Jakgdyby w odpowiedzi na to, Łomow pluł przez zęby w stronę starowiercy i obelżywą aluzją do niskiego wzrostu staruszka: „ogryzek sobaczy!” rozśmieszał całą izbę.

Na wieczerę z kuchni dla wszystkich przystano kleik owsiany. Mnie Antonycz osobiście przyniósł mleko.

Gdym od posługacza brał miseczkę, zauważyłem, że chmurny Łomow utkwiał we mnie roziskrzony wzrok. Przypisywałem to chęci, abym się z nim podzielił mlekiem.

— Otóż nie! i nie! — myślałem — właśnie, że wszystko, co do odrobiny, zjem sam.

W tej chwili skrzypnęły drzwi... Usłyszałem lekkie i szybkie tupotanie po podłodze... Szczeknięcie radosne... To Suango, widocznie czyhający na sposobność, wśliznął się przez nie domknięte drzwi do izby, wskoczył na moje łóżko, wytrącając mi z rąk miseczkę... Kaskada białych kropel obryzgała mnie i moją pościel... A Suango, ścisnany i całowany przeze mnie, skomlał radośnie, liżąc twarz, szyję i ręce, zlizywał mleko i połykał... A Łomow patrzył na tę scenę ze ściągniętą brwią, ze zgrzytem zębów, coraz to chmurniejszy i wstrętniejszy.

KAZ. PRZERWA-TETMAJER:

BABSKI WYBÓR.

Byli w jednej wsi gazdowie bardzo bogaci, mieli syna jedynaka i chcieliby go byli strasznie dobrze ożenić. Ale wybór był trudny, bo się dziewczki pchały jedna przez drugą, i każda swoje cnoty przedstawiała.

Aż raz powiada baba do chłopca:

— Wiés, Wojtek, tak nie zrobimy, nie. Nie poznas człowieka, ino wtedy, kie nie wie, ze na niego patrzys. Oblec sie za dziada i pomiędzy chałupy idź — wtora cie dziewczka nolepi obdarzy, z tom nasego Kube ożenimé. Bedzie nolepsa.

Zwidziało się to chłopu, ta babska rada, wziął starą czuchę, łataną portki, wziął na plecy torbę, w rękę kij i poszedł. Rzekomo dziad.

Idzie pomiędzy chałupy, chodził cały dzień, wrócił wieczorem i siada na ławie zmartwiony, a gębę miał z jednej strony spuchniętą.

— No co?—pyta się go baba.—Wtoraz ci sie na niewiaste udała?

— He—powiada chłop—obiór trudny. Zasełek ku piersej: dała mi spyrki, zasełek ku drugiej: dała mi obrozek świencony; zasełek ku trzeciej: wyprała mi kosule—cos teraz wiés? Jedna scodra, druga nabozna, trzecia robotna—syćkie dobre.

— Hm — mruknęła baba.—Iści ze obiór trudny... Ale co ci to, co mas gębę spuchnionom?

— E to nic, ani gwary nie warce. Zasełek ku czwartej, dała mi w pysk—powiada chłop.

A baba jak nie skoczy z ławy, jak nie krzyknie:

— E, głuptaku jeden! Nie gadas nic? i jesce medétujes. Jedy to tak, jakby ci sam Pan Jezus Przenojszwientsy z nieba palcem pokazał!



WŁOSZKA (własność Edw. hr. Raczyńskiego)
Z wystawy starych mistrzów w Krakowie.

FRYDERYK AMERLING

Wszedł Antonycz. Spojrzał na leżące na ziemi skorupy z miseczki, spojrzął na mleczną strugę, płynącą po podłodze, krzyknął, porwał Suanga za kark jedną ręką, kułkiem drugiej okładał jego piękną, mądrą głowę, wyniósł go, cisnął na ziemię i kopał niemiłosiernie... Po wschodach, z sionki na dziedziniec szpitalny prowadzących, stoczył się Suango, wyjąc żałośnie...

Chciałem wybiedz na ratunek swojego ulubieńca, zawiodły mnie siły, upadłem, szlochając.

— Biedny Suango! biedny, drogi Suango!

Poczem chwyciły mnie dreszcze i gorączka...

Starowierca przez całą noc kładł mi zmoczone szmaty na rozpaloną głowę...

Obok mnie Łomow chrapał, jak zarzynany wół, a ja bez przerwy jęczałem, rozelkany:

— Suango! Suango! Suango!

Kiedy Borys, wróciwszy, zapytał, co mogło wpłynąć na takie niespodziewane pogorszenie mojego zdrowia, na taki rozstrój nerwów ogromny, odpowiedziałem:

— Suango!

— Ach—westchnął—któż panu doniósł?

— Czyżby Nieustrojew?—przerwałem zaniepokojony.

— Gdzież tam! Nieustrojew dotrzymał słowa...

— Więc?

— Suango po moim wyjeździe...

żyć przestał — rzekł poczciwy Borys, nie chcąc przez delikatność i ze względu na moje wielkie do Suanga przywiązanie powiedzieć:—

zdechł. Staruszek starowierca ze swego kącika przydreptał i swoim melodyjnym głosem rzekł do mnie i do Borysa:

— Widzicie, młodziany? Często Moc Najwyższa przez nieme stworzenie od śmierci ratuje człowieka sprawiedliwego.

Łomow podniósł się na posłaniu, oparł na łokciu i wyciągnął swoje potężne zaciśnięte pięści, jakgdyby gotując się do walki...

W tej chwili gwoździ podkute buciska ciężko zastukały na podłodze... Wszedł posługacz Antonycz.

Zobaczywszy, że dr. Borys, starowierca i ja rozmawiamy poufnie, zawrócił się i znikł...

Znikł ze szpitala, z miasta, z okolic Omska; nikt i nigdy nie słyszał już o posługaczu szpitalnym Antonyczu.

Ale natomiast po mieście i w Ostrogu pośród katorżników krążyła i długo utrzymywała się wieść, że Antonycz w zмовie z felczerm i Łomowem zamierzał mnie otruć, w celu przywłaszczenia sobie owych trzech rubli, których Łomow, dzięki czujności starowiercy, nie zdołał nocą wykraść mi z pod poduszki.

Felczer dostarczył trucizny...

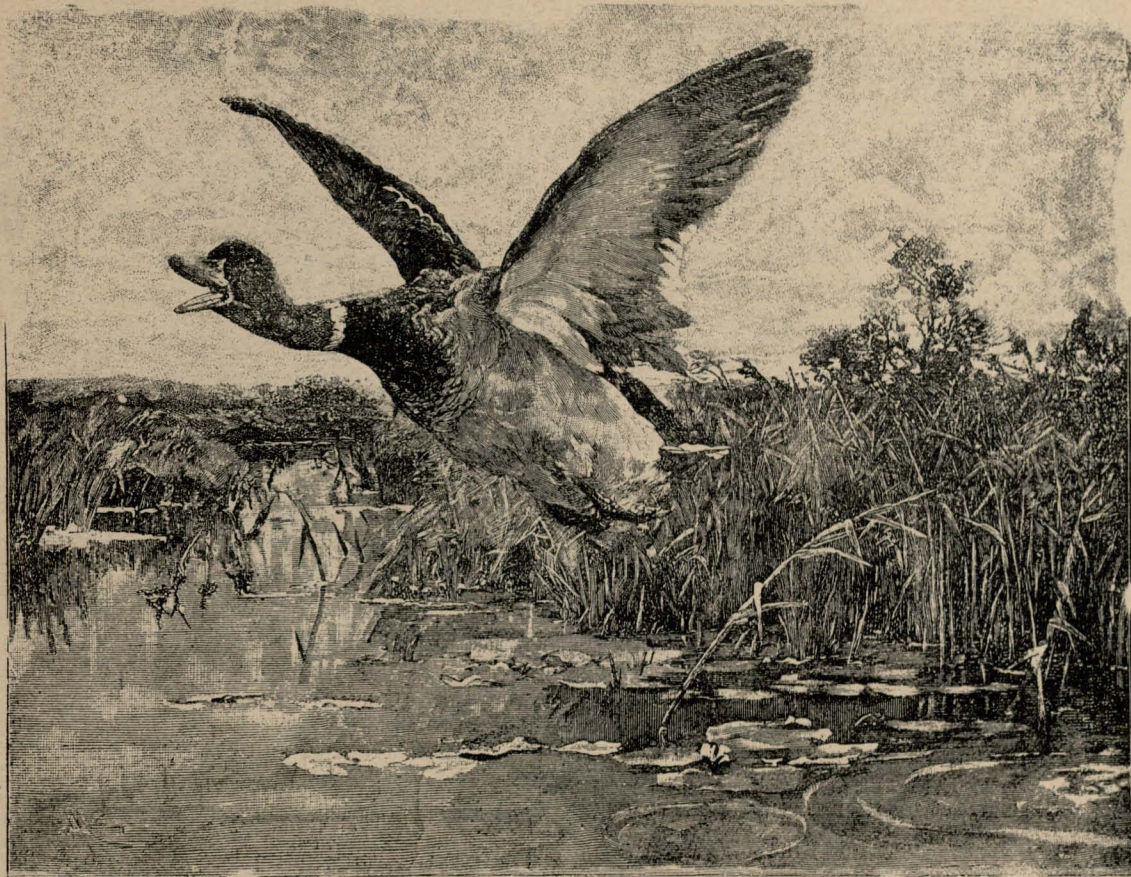
W nieobecności lekarza, felczer byłby wydał świadectwo, że zmarł śmiercią naturalną.

Suango zniweczył te plany zbrodnicze.



SCENA PASTERKA (własność Szczepana hr. Tarnowskiego)
Z wystawy starych mistrzów w Krakowie.

ANTONI PESNE



Na kaczkach.

Z CYKLU: „WIEŚ”.

Umilkły już toki cietrzewie i głuszcze—przeciągnęły gęsi i kaczki—lankastrówki i lepażówki drzemią na kilimkach po ścianach, kurzem zlekką przysute, a Asy, Bekasy, Aporty wylegają się w cieniu białym kwieciami osypanych akacji, jaśminów... Po polach chyboczą się w czerwcowym wietrze zielono-srebrne fale młodych żytnich kłosów—w słup już poszła pszenica i coraz wyżej przerasta modre oczy chabrow, —spóźnione latoś kartofle pierwsze ciemno-zielone z nad redlin wypuściły liście, łąki kwitną zapachem, różowieje koniczyna, „panieńskim rumieńcem dziecielina pała”...

Na gwóźdź poszły fuzyki, drzemią Asy, Bekasy... A w łąkach jeno chróściel, „giec” biedny, na przypołudnie odzywa się skrzypem, jakby wrotnią od stodoły ruszał kto „na psotę”.

Nie zwierzyna to żadna taki „derkacz”, co lada pastuch kijem go dopadnie; myśliwy chyba z nudów doń strzeli, kiedy zły, z pustą torbą z łąk wraca, kędy buczą bekasy, dubelty, albo kiedy kszyka „po trzecim koźle” spudłował.

Panicze na tem z pojedynki, do „polówki” się zaprawiają.

Kiedy bekas siada na jajach, a na „kury” czekać jeszcze trzeba, zanim się z łąnow ozwie przepiórka—gadają stawy, jeziorka, łągi, zatoczki rzeczne, wikliną i sitowiem obroste.

Kaczki już się wylęgły.

Święty Jan minął, młode z „klapaczów” na „podloty” się zamieniają.

Każdego ranka i wieczora każdego gadają stawy i wody wszelakie kaczmi głosy, a po rosach leci cichy odgłos „kwakania” w myśliwskie, czujne ucho.

I schodzą znów z kółków wypoczęte fuzyki—Asy, Bekasy nastuchują i patrzą pytająco w dziedzicowe oczy.

Szary świt. Kłębem idzie z jeziorka biały opar nad trzciniowe kiście, nad zielone szuwar. Kaczki kwaczą—starki z sitowia na czystą wodę prowadzą młodzież. Na brzegu myśliwy pod gruszą stanął i Bekasa zaprasza do wody.

—Halooo! poszukaj, piesku! poszukaj!

Woda zimna. Bekas ją łapami i pyskiem próbuje; nierad kąpieli, ale wiatr chwycił, słyszy z trzcini kwakanie ciche... więc ryzykuje.

Poszedł. Płynie wolno wśród trzciny, pysk do góry trzyma, „trąbę” pod wiatr nadstawia...

„Starka” słyszy chlapanie, wie, co się święci; i młode trzyma przy sobie, w szuwar zaszyta,

zdecydowana w ostateczności dopiero demaskować się rejteradą.

Ale nie każda dotrzyma. Czasem ją pies w rzadkiej trzcinie zajdzie, czasem się po sitowiu rozleca nieopatrzne „klapacze”—czasem też „kacze nerwy” nie mogą strachu wytrzymać.

Wypląta. Salwuje się ucieczką cichą. Popod ścianą szuwaru, albo po wodnych między sitowiem kanalikach suje się „sznurek” kaczki ostrożnie, pomału, cichutko.

Zwietrzył je Bekas, zaszedł z boku, zestrzegł „na oko” i z impetem nacisnął.

Zrywa się starka—jakby kto dwa suche o siebie trzasnął patyki, tak skrzydła uderzyły w powietrze—i ciągnie nisko na staw, pod drugi brzeg.

Jeżeli sama—nie strzeli do niej dobry myśliwy. Młode widać jeszcze nie umieją latać—„starka” o tej porze chuda i twarda—bezelowe morderstwo. Niech tam lepiej podchowa jeszcze „klapacze”! Nie zginą!

Ale jeśli za „starką” cały do lotu zrywa się sznurek—wtedy uciecha!

Huknęła raz i drugi dwururka.

—Aport! Bekas, aport! szukaj, piesku, szukaj!

I niesie Bekas na brzeg „podlota”, wraca po drugiego do wody.

Wyniósł—idzie za panem, otrzepując się z wody, na drugi brzeg, by stamtąd znów „wypchnąć” na strzał z szuwarów podloty, zanim przelęka z matką pójdą przez las na drugą wodę w sąsiedztwie.

Jeśli staw duży, a zarosły dobrze, polować można choćby i do wieczora.

Jeno w płótno się ubrać, skórnio dziurawe na nogi obuć, żeby woda z nich wyciekała i—razem z Bekasem—jazda w wodę!

A jeśli głęboko, wyżej pasa, tak, że strzelać trudno i ładunki, choć na szyi, zamokną, to już łodzią między trzciny trzeba się pchać, a pieska o pomoc prosić—ale uciecha pewna.

Jeżeli kaczki już „bystre”, po strzale zaraz precz się niosą, na dalsze wody, to może cyraniki, albo cyraneczki, cierpliwsze zawsze i mniej strzału płochliwe, dotrzymają wśród trzciny.

A wieczorem i tak na lęgowy staw wraca zawsze starka ze swojemi.

Byle dopilnować powrotnego ciągu i dotrzymać na muszce, kiedy ano spokojne, nie widząc ukrytego strzelca, na noc w szuwar zapadają bez troski. I tygodni parę, od św. Jana aż do Roześlańców, uciecha myśliwska trwa, póki „kury” po owsach i kartoflach nie dorosną do „farby” i pary...

KAZ. LASKOWSKI.

Chrystus ukrzyżowany.

Dzięki inicjatywie J. E. księdza biskupa Ruskiewicza, został odrestaurowany niezwykle cenny zabytek sztuki polskiej: „Chrystus ukrzyżowany”, zdobiący główny ołtarz Świętokrzyskiego kościoła.

Fakt ten, który się schodzi z uroczystym jubileuszowym obchodem szanownego pasterza, nabiera znaczenia wobec tego, że obraz jest jednym z wielkich dzieł słynnego w Polsce w końcu XVII w. artysty, Jerzego Semiginowskiego, nadwornego malarza króla Jana III-go.

Semiginowski zajmuje w początkowej historii sztuki polskiej wydatne stanowisko, jako artysta niezwyklej wiedzy fachowej i pierwszorzędnego talentu. Pracował w epoce, gdy polski malarz do nielicznych wyjątków należał, gdy trzeba było mieć wyjątkowe zdolności, aby się wybić na stanowisko w gronie sprowadzanych przez królów i możnych panów, z zagranicy, cudzoziemców.

Długo bardzo okryty pseudonimem Eleutera, zgola nieznany był naszym historykom sztuki, jako malarz polski. Dopiero studia Rastawieckiego, Żegoty Paulego i dopełnienie Herbarza Niesieckiego przez I. N. Bobrowicza, pozwalają nam dojrzeć nieco wyraźniej, na tle pierwiastkowego malarstwa naszego, poważną postać tego artysty.

Dzieje życia Semiginowskiego są dość niezwykłe.

Był on synem ziemianina województwa Ruskiego, Jerzego Semiginowskiego, herbu Sas, który za zabójstwo sąsiada, czyniącego zbrojny najazd na jego dwór w Semiginowie, został skazany na banicję, a majątek jego na konfiskatę. Żona banity wraz z dziećmi schroniła się pod opiekę króla Jana. Prawdopodobnie król zajmował się kształceniem młodego Jerzego i wysyłał go dla nauki za granicę. Gdzie mianowicie się kształcił i pod którym kierunkiem, dotychczas nie wiemy, zapewne jednak we Francji, a to dzięki stosunkom ciągłym ówczesnego dworu polskiego z dworem francuskim. W każdym razie doszedł on w swej sztuce do niezwykłej doskonałości.

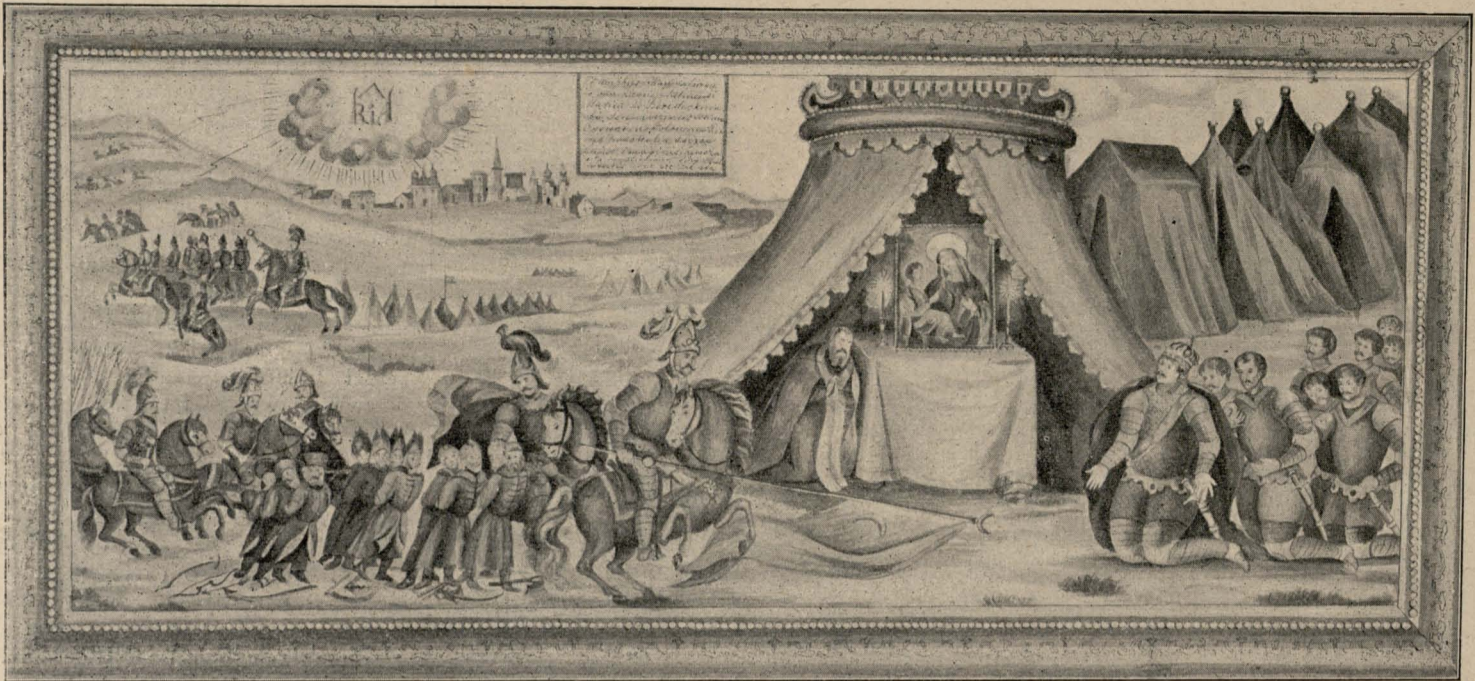
Zagadkę przyjętego pseudonimu wytłómaczyć można albo szlacheckim wstydem zajmowania się kunsztem, co identyfikowano z rzemiosłem, lub też faktem ojcowskiej banicy. W każdym razie podpisuje dzieła swe łacińską nazwą Eleutera i czyni tak do końca swej kariery. Jest on ciągle przy osobie króla Jana, jako jego sekretarz, towarzyszy mu pod Wiedeń, pod Parkany, i na zlecenie jego maluje obie te bitwy—robi równocześnie portrety pary królewskiej, ich dzieci i bliższego orszaku.

Król, nagradzając zasługi swego nadwornego malarza, mianuje go kawalerem złotym (Eques auratus), nadaje mu wieś Łukę i prawdopodobnie starostwo Jabłowieckie, gdyż z tym tytułem figuruje on w pierwszych latach panowania Augusta II-go. Bobrowicz robi go również posłem do Hiszpanii, niewiadomo tylko, kiedy to miało miejsce. Semiginowski zmarł w 1711 r., pozostawiając z dwóch żon potomstwo.

Znajdujący się w kościele Św. Krzyża olbrzymi, bo mający 10 1/2 łokcia wysokości a 5 3/4 szerokości obraz artysty jest prawdopodobnie jednym z najdoskonalszych dzieł jego. Znanie nam portrety jego pendzla ustępują wartością „Chrystusowi na krzyżu”. Mieści on obok postaci Chrystusa Matkę Boską, Świętą Maryję Magdalenę i Św. Jana. Całość ma wiele spokoju, harmonii i ujawnia tradycje szkoły włoskiej—rysunek jest bardzo poprawny, malowanie wirtuozowskie.

Jak poświadczają akta kościelne, dzieło Eleutera było poświęcone w 1696 r., w roku śmierci Sobieskiego. Na uroczystości obecna była Maryja Kazimiera.

Obraz, z górą trzysta lat liczący, był już kilkakrotnie odnawiany, że jednak zawsze czynili to artyści sumienni i znający swą sztukę, utwór Semiginowski zachowany jest w doskonałym stanie. Pierwszym jego restauratorem był słynny w swoim czasie prof. Blank; następnie, już w 1870 roku, w chwili odnawiania całego prezbiterium, restaurował go długoletni kustosz Muzeum sztuki przy szkole rysunkowej, specjalista, Jacenty Sachowicz.



CHEŁM. Nabożeństwo dziękczynne w obecności Jana Kazimierza po wyprawie beresteckiej. Rysunek Antoniego Tąkiela z roku 1641. Ze zbiorów Z. Glogera.

Teraz, wobec konieczności odnowy słynnego obrazu, powierzono tę pracę p. Józefowi Janowskiemu, który, łącząc w poprzedniej swej karierze malarstwo i rzeźbę, od lat kilku poświęcił się specjalnie restaurowaniu starych dzieł sztuki. Przyśtuępując do tak niezwykle trudnego i odpowiedzialnego zadania, p. Janowski doskonale odczuwał konieczność zachowania zabytku w stanie takim, w jakim dzieło Eleutera, pokryte patyną czasu, być powinno. Nie odnowił go więc, nie odświeżył, ale nam je pozostawił z piętnem przeszłości, z piętnem epoki, w której powstało. To właśnie zachowanie patyny czasu jest największą zasługą p. Janowskiego. Praca jego straciła może przez to na błyskotliwości, na efekcie, ale zyskała na wartości artystycznej. W ten tylko bowiem sposób postępując, można zachować w skarbicy sztuki jej stare klejnoty na długie lata. H. P.

DAWNA ZIEMIA CHEŁMSKA.

Zaprojektowana w ostatnich czasach dziwna i fantastyczna gubernia Chełmska nie znajduje się prawie w żadnym związku terytoryalnym i granicznym z dawną „Ziemią Chełmską”. Zajrzyjmy do starych dziejów. Nestor, pierwszy kronikarz Rusi, mówi o „grodach czerwieńskich”, które roku 981 zdobył ks. Włodzimierz na Lachach. Uczony dyrektor Ossolineum, Kętrzyński, wykazał, że te „grody czerwieńskie” ciągnęły się od istniejącego na Podolu galicyjskiem do dziś dnia Czerwonogrodu, wzdłuż Dniestru do Sanu i od Sanu w stronę źródeł Buga. Wymieniona przez Nestora nazwa „Czerwień” jest przymiotnikiem i oznacza „czerwony”, t. j. Czerwony gród (jak Lwów oznacza „Lwów gród”, a Lemberg—Loewenburg). Czerwień zatem znaczy to samo, co Czerwonogród (istniejący niedaleko Dniestru, na północ od Zaleszczyk, gród książęcy, później stolica powiatu), a dopóki inne grody zależały od tego Czerwienia, musiały się zwać czerwieńskimi. I od nich to poszła nazwa Rusi Czerwonej, naiwnie wywodzona przez późniejszych naszych pisarzy: to od rzekomej kompleksy krwistej ludu miejscowego, to od krzaków *rubeta*, to od krwi ludzkiej, obficie tu przelewanej podczas wojen, to od znajdującego się obficie na łąkach tej krainy owadu czerwonego, zwanego „czerwcem”, a z cudzoziemska koseniłą.

Król Kazimierz Wielki, uwolniwszy ten piękny kraj z pod ciężkiego jarzma Tatarów, po wygaśnięciu książąt czerwonoruskich, od r. 1340 posiadał Ruś Czerwoną prawem spadkobierstwa. Siostrzeniec Kazimierza i jego następca, Ludwik Węgierski, wcielił Ruś Czerwoną do Węgier, którym odebrała ją potem i przywróciła Polsce królowa

Jadwiga. Pod koniec panowania Władysława Jagiełły Polska utworzyła „Województwo Ruskie”, które składało się z pięciu ziem: Lwowskiej, Przemyskiej, Sanockiej, Halickiej i Chełmskiej. Zgodnie z systemem silnie decentralizacyjnym dawnej Polski ziemie Halicka i Chełmska rządziły się osobno, a przytem ziemia Chełmska była terytoryalnie całkowicie przez województwo Bełskie



Rodzina włościańska z ziemi Chełmskiej. Fot. „Maria”.

oddzielona od województwa Ruskiego, stanowiąc jego anklawę, czyli oddzielną przynależność.

Dzieje ziemi Chełmskiej przedstawiają od X wieku po Chrystusie ścieranie się dwóch wpływów: zachodniego Piastów i wschodniego Rusi, a gdy najazdy Tatarów zdruzgotały potęgę książąt Rusi, przybył jeszcze trzeci współzawodnik do władzy—litewski oręż Gedymina. Gdy Kazimierz Wielki przyłączył w r. 1340 Ruś Czerwoną do Polski, zaczęły się wówczas spory i walki o ziemię Chełmską i o Wołyń między Kazimierzem a książętami litewskimi. Mocą ugody z Olgerdem Kazimierz, odzyskawszy ziemię Chełmską, oddał ją w dzierżawę księciu bełskiemu, Jerzemu Narymuntowiczowi, zostawiając załogę polską w grodzie chełmskim. Gdy jednak książę ten dopomagał ciągle łupieskim najazdom Litwinów na ziemię polskie, król Ludwik, następca Kazimierza, w r. 1377

zajął Chełm i ostatecznie ziemię Chełmską wcielił do Korony polskiej.

Początki biskupstwa chełmskiego łacińskiego, tudzież ruskiego giną w mrokach dalekiej przeszłości. Łacińskie powstało, jak się zdaje, z pierwszego projektu utworzenia biskupstwa łukowskiego dla podlaskiego Nadbuża za czasów Bolesława Wstydlwego, ale dopiero w wieku XIV spotykamy wzmianki o łacińskich biskupach chełmskich. Biskupstwo chełmskie ruskie miało tu swoje niezawodne siedlisko od wieku XIII.

Od czasów jagiellońskich ziemia Chełmska rządziła się sama, t. j. niezależnie od województwa Ruskiego, sejmikując w Chełmie, wybierając dwóch postów i jednego deputata. Dzielila się na dwa powiaty: Chełmski i Krasnostawski, z których każdy miał starostwo grodowe (w Chełmie i Krasnymstawie) i osobnych, wybieralnych z miejscowej szlachty urzędników ziemskich. Senatorów miała dwóch: większym czyli krzesłowym był biskup chełmski, a mniejszym—kasztelan chełmski. W wieku XVII powiat Chełmski obejmował wsi 260 i miasteczek 16, a Krasnostawski wsi 167 i miasteczek 7. Jako zabytki średniowieczne, dotrwały tu do naszych czasów dwie wieże murywane, które lud słupami nazywa. Jedna przy mieście, na wzgórk, wśród łąk, a druga we wsi Stołp. Jagiełło wieś królewską Rubieszów w roku 1400 zamienił na dzisiejsze miasto Hrubieszów. Mikołaj Rej z Topoli w dobrach swych przy wsi Kobyle, w ziemi Chełmskiej, założył około r. 1547 miasto, które nazwał od nazwiska swego Rejowcem. Wielki obywatel kraju, Jan Zamojski, kanclerz i hetman, założył w ówczesnym powiecie krasnostawskim twierdzę i miasto Zamość, którego kupców i rękodzielników zaopatrzył szczerze w dobrodziejstwa i przywileje ówczesnej kulturalności, a dla rozwoju oświaty narodowej założył akademię w Zamościu, dając świetny przykład panom polskim, jak dobrzy synowie kochać swą ojczyznę i służyć jej powinni. W farze św. Tomasza w Zamościu znajduje się kaplica z grobami Zamojskich, gdzie zwłoki wielkiego męża spoczywają. Na pobliskim filarze wmurowana jest tablica nagrobkowa słynnego poety Szymona Szymonowicza, przyjaciela i domownika Jana Zamojskiego, który lubił otaczać się uczonymi i szczylił się ich przyjaźnią.

ZYGMUNT GLOGER.

W następnym numerze „Tygodnika” rozpoczniemy druk wrażeń znakomitego pisarza, Wł. St. Reymonta, z ziemi Chełmskiej, dokąd udał się, uproszony przez nas o zbadanie nastroju ludu miejscowego.

Pod znakiem idealizmu.

Materyalizm naszych czasów spotyka się coraz częściej z ostrą krytyką i coraz więcej ma otwartych, zdecydowanych nieprzyjaciół, którzy wstępują z nim do walki w imię dobra ludzkości. Materyalizm wytworzył człowieka zdenerwowanego, chorego, tracącego dech w nieustannej pogoni za pieniądzem, zdolnego do *używania*, ale niezdolnego do *życia*—mówią zwolennicy odrodzenia, i jako źródło tego odrodzenia wskazują nam idealizm, który jedynie może być potężną dźwignią ducha w człowieku i zapewnić mu szczęście wszechstronne, bo „duch ma także władzę nad ciałem”.

„Człowiek żyje tak długo—mówi prof. Jarocki, jeden z najgorliwszych w nauce współczesnej propagatorów neoidealizmu—na jak długo starczy mu sił duchowych w walce z otoczeniem. Nie od serca, mięśni, nerek, nie od takiego lub innego stanu arteryi, dotkniętych procesem sklerozy, ale od *sił duchowych*, które rozporządzamy, zależy wytrzymałość naszych organów”.

Znużenie i starość przedwczesna—oto niezaprzeczone owoce materyalizmu; spokój i długowieczność—oto perspektywa dla tych, którzy potrafią wytrwale pracować nad zdobyciem światopoglądu idealistycznego, oni bowiem osiągną równowagę duchową w najcięższych momentach życia.

I oto jesteśmy świadkami, jak pod wpływem głębokich rozważań, które jedni wydobywają ze starych ksiąg indyjskich, inni opierają na własnych doświadczeniach, budzi się w świecie cywilizowanym nowy prąd myśli, złoścący sobie coraz szersze łożysko we wszystkich umysłach, poważnie patrzących na życie.

Tak, jak jest, jest źle i trzeba dążyć do poprawy. Nikt nie broni stanu obecnego, nikt nie wypowiada się bezwzględnie za materyalistycznym poglądem na świat. Jak feniks, wstaje z popiołów stary idealizm, skąpany w słońcu boskiej nauki Platona i, nowy przybierając kształt, podbija sobie stopniowo wszystkie dziedziny myśli ludzkiej.

Daleko mu jeszcze do tryumfu. Zmateryalizowany świat nie odrazu zejdzie z dróg, po których kroczyć się przyzwyczaił, brutalny egoizm nie przeistoczy się za dotknięciem laski czarodziejskiej w szlachetne braterstwo człowieka z człowiekiem, siła nie przestanie gnębić prawa i sprawiedliwości na skinięcie gałązki oliwnej, z którą przychodzi nauka.

Niewątpliwie jednak dokonywa się już w naszej epoce głęboki i zasadniczy przełom w nastroju umysłowości ludzkiej. Rozległe państwo ducha pociąga nas coraz bardziej i coraz dalej w swoje dziedziny. Pojmujemy coraz lepiej, iż nie wszystko jest funkcją fizyologiczną naszego organizmu, iż jest w nas siła, która funkcjami temi kieruje.

Nie wiele może pragniemy już dla siebie, ale nie chcemy pchnąć tych, co po nas idą młodym i roześmianym do życia szeregiem, na drogę, po których zśliśmy sami, a na których nie było szczęścia ani spokoju, kwiatów ani słońca, ale było szamotanie się nieustanne z sobą, krwawe zmaganie się z losem, gorzkie zawody i rozczarowania. Słabi i nie posiadający hartu do znoszenia przeciwności, przedwcześnie straciliśmy nasz impet życiowy, nasz lot ku przyszłości obniżył się, a skrzydła nasze zaszargaly się w błocie i pyłe przyziemnym. Duchowo rozbici i chorzy, wyczerpani i wyjąłowieni, nie wszyscy może potrafimy już dzisiaj stanąć pod rozwijającymi się chorągiewkami zmartwychwstającego idealizmu, ale prowadźmy pod te chorągwie pokolenie, które nie *za siebie* ale *przed siebie* patrzy, i starajmy się uzbroić je na drogę życia tak, aby rozwinęły się w niem wszystkie siły ducha i ciała, aby w każdej jednostce mógł się narodzić doskonały i zupełny człowiek, a wówczas pozyskają następcy nasi niewątpliwie tę równowagę, jakiej nam brakło w walce o jutro.

Z. D.

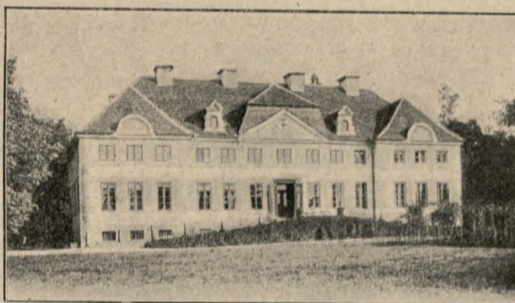
PAMIĄTKI WIELKOPOLSKIE.

GUŁTOWY.

Wielkopolska żyje pod grozą dwojakiego wywłaszczenia. Od dwóch lat stało się wywłaszczenie ziemi prawem. Ale jest jeszcze drugi rodzaj wywłaszczenia, cichy i nie tak uchwytny i nie tak burzący, bo nie godzi w posiadanie materialne narodu. Stałe i konsekwentnie wywłaszcza się Wielkopolskę z jej starej, rodzimej kultury.

Wdzięcznym, jako zadanie, i pożytecznym dla naszej nauki byłoby badanie, ile naszych rodzimych pierwiastków, ile ducha narodowego mieści się w zabytkach sztuki, pozostałych w puściźnie po Rzeczypospolitej. Jakkolwiek bowiem ustrój społeczny, zaludnienie miast Żydami i cała ilość innych błędów złożyły się na zupełne zaniedbanie produkcji narodowej w dziedzinie sztuki i techniki, to jednakże budownictwo dawnej Polski, choć przez obcych w swej monumentalnej części prawie wyłącznie uprawiane, ma pewien swojski charakter.

Jest widoczne, że wpływ motywów i sposobów miejscowych ludowego budownictwa, mających wybitną już odrębność, był silny i wyciskał piętno na wszelkiej produkcji kraju. Kiedyś może, kiedy zainteresowanie się sprawami kultury stanie się powszedniejszym w naszym społeczeństwie, wytworzą się też odpowiednie warunki dla wielkich zadań kulturalnych. Trzeba będzie poddać ścisłej



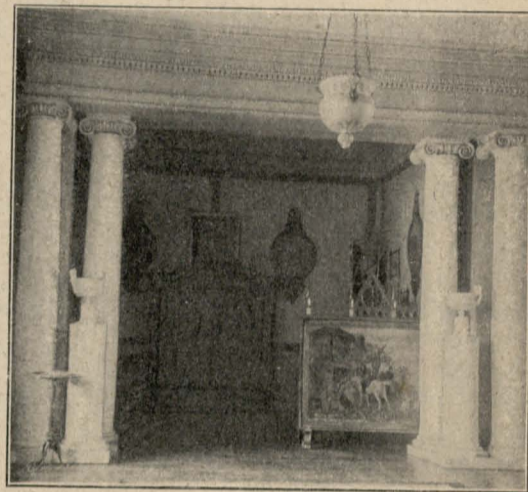
Gultowy. Pałac od strony zajazdu.

krytyce całą dziedzinę sztuki tak zwanego niemieckiego Wschodu, aby szukać własnej kulturalnej i artystycznej przeszłości. Jest bowiem rzeczą pewną, że nie we Lwowie lub w Wilnie, nawet nie w Warszawie, lecz na Śląsku, na Pomorzu, w Poznańskim a nawet w Brandeburgii należy odgrzebywać fundamenty i pierwsze przejawy polskiego życia kulturalnego.

Rzeczpospolita przesunęła punkt ciężkości wszelkich spraw na wschód. A przez czyn ten straciła podkład narodowy, dobrowolnie podcięła przy korzeniach pień życia narodowego i stała się bezbarwnym konglomeratem różnorodnych pierwiastków—bez siły twórczej, bez wyrazu. W miarę zaś, jak Rzeczpospolita opuszczała sprawę ludu swego rdzennego, szła aneksja od germańskiego Zachodu.

W XIX stuleciu każdy kulturalny naród Europy sięgnął do skarbnic przeszłości własnej, aby po wyjąłowieniu sztuki dworskiej pod koniec XVIII wieku nawiązać przerwana nić ludowych rodzimych tradycji. Co u nas działo się na tem polu? Mieliliśmy czas i pieniądze na wszelkie najproblematyczniejsze akcje polityczne o fatalnych zwykle wynikach. Do cichej a tak wydajnej pracy nad kulturą własną nie wzięliśmy się i w XIX w. jeszcze na seryo. Wystarczy choćby przejrzeć skrowidz dzieł, tyjących się kultury i sztuki w Wielkopolsce (a do ostatnich chwil i w ca-

łej Polsce)—o zabytkach naszej sztuki i kultury piszą przeważnie obcy, Niemcy, i, co ważne, piszą, jako zawodowcy, wyposażeni w odpowiednią wiedzę i zmysł krytyczny. Z takiego też stanu rzeczy wynika przy rozbudzonych oddawna apetytach nacyonalistycznych niemieckiego narodu to, o czym na wstępie wspominał: stałe wywłaszczanie Wielkopolski z jej rodzimej kultury. Anektuje się przeszłość, kła-



Gultowy. Fragment salonu.

dając ją na rachunek dorobku pilnego narodu niemieckiego, który wpięty zdobył kulturalną pracą kraj słowiański, a potem zdobył te „mieczem utwalił”. Równocześnie zaś zmienia się systematycznie wygląd kraju dzisiejszy. Kolonizacja, żydowskie magistraty wszystkich miast naszych w Poznańskim, rząd pruski i przerażająca obojętność społeczeństwa naszego wobec spraw sztuki sprzysięgły się na zagładę wszystkiego, co polskie. W Wielkopolsce niema zupełnie kultury artystycznej. Społeczeństwo nie posiada też żadnej dyrektywy w sprawach sztuki, a nawet nie odczuwa jej braku.

Wobec ważnych zadań kultury narodowej staje z naiwną bezradnością niemowlecia, częściej z arcy-mądrym rozumowaniem snoba. Wystarczy przypatrzeć się najnowszemu wysiłkom na tem polu w samej stolicy księstwa. Na przedmieściach Poznania wzniesiono w ostatnich czasach dwa wielkie kościoły. Stanęły oba, jako monumenty nie-kultury. Nowa niespodzianka czeka Poznań w postaci trzeciego kościoła na przedmieściu, Główna. Do tego samego rodzaju macoszego traktowania ważnych spraw kulturalnych narodu należy zali-



Gultowy. Pałac od strony parku.

czyć renowację naszej katedry, przeprowadzoną przed kilku laty, i niezliczoną ilość mniejszych przykładów. Fakty takie biją w oczy tem więcej, że równocześnie Niemcy przeprowadzają swe budowle najlepszymi siłami i wedle najlepszych chęci artystycznych, ale równocześnie w duchu niemieckim, aby kamienne monumenty świadczyły o niemieckości kraju.

Zacietrzewiona w drobnych, partykularnych sprawach Wielkopolska, podnosząca do

przesadzonej wartości zapobiegliwość w gromadzeniu pieniędzy i wedle posiadania tychże oceniająca jedynie ludzi, zatracająca zrozumienie wielkich celów szerokiej kultury, bez której żyć nie może naród. Przytem stały strach o egzystencję narodową wobec brutalnej polityki rządu przytłumił najłżejszą nawet krytykę stosunków wewnętrznych społeczeństwa — iść błędnie, byle kupą, byle razem. Chochoł gra, „tańczy cała szopka”.

Nikną więc stare monumenty przeszłości, i panoszy się tandeta. Ile to u nas zniszczono dawnych zabytków, stawiając na ich miejsce ohydne okazy, sklecone na wzór pruskich koszar! Czas wielki zbierać i przechowywać, co się jeszcze przed zachłanną nie-kulturą ostatnich czasów uchroniło. Bo zanim się ockniemy, nie będzie ani jednej cegły, któraby świadczyła o naszej przeszłości narodowej. Narazie, przy braku odpowiednich warunków, niepodobna w zbieraniu zabytków iść wedle pewnego systemu, wedle wyboru. Najważniejszą rzeczą, aby utwalić, zachować, co się jeszcze da, a z pewnością zbiory takie staną się ważnym przewodnikiem dla historyka sztuki narodowej. A materiały, w ten sposób zebrany, może, pod pewnym względem, być wytyczną dla współczesnej pracy w dziedzinie budownictwa.

Oprócz naturalnych, przyrodzonych, a przez pracę ludzką odpowiednio ujętych warunków danego kraju, oprócz jego szumiących lasów, szeroko rozlanych tafli wód, wielkich płaszczyn złotych zbóż, oprócz tego wszystkiego, co się zwie przyrodzoną pięknnością natury, wchodzi jedynie jeszcze budownictwo danego kraju w rachubę, jako uzupełnienie i charakterystyczny moment danej okolicy. Jest to prawda wielkiej wagi, która odrazu stawia budownictwo narodowe w samo centrum dążeń kulturalnych. O prawdzie tej wiedzą Niemcy, budujący kolonie dla Sasów, Franków, Szwabów na naszej ziemi. Z polskiego społeczeństwa w Wielkopolsce wie o tem zaledwie kilku. To też przeistacza się wygląd naszej ziemi i upodabnia powoli do innych krain zdobywczej Germanii. Tu i owdzie jeszcze z cieniściego parku wyrzy starą rezydencją pańską białością murów, rzędem rozsiadłych kominów na łamanym dachu, wystrzeli wieża wiejskiego kościoła z barokową kopułką po nad rozłożyste lipy, ale widoków tych u nas, w Wielkopolsce, w kolebce narodu, coraz mniej.

Jako przykład dworu wielkopolskiego z dawniejszych czasów, mogą służyć Gułtowy, położone w powiecie średzkim, kilka mil na wschód od Poznania. Park stary, cieniasty otacza gułtowski dwór. Jest to budynek jedno-piętrowy, zbudowany z cegły, obrzuconej wapnem, bez cokołu, pokryty dachem dachówkowym. Założenie budynku przedstawia formę podwójnej podkowy, od strony zajazdu nie wiele wystającymi ryzalitami zaznaczonej. Dachy, pokrywające ryzalita środkowe i boczne, ożywiają całość i stanowią jej największy urok, wytwarzając wraz z rzędem kominów, przerywających szczytową linię dachów, pełną charakteru sylwetkę. Dwór gułtowski pochodzi ze schyłku XVIII stulecia, nosi też na sobie wszelkie cechy stylu swego czasu. Powrót do prostoty form na podstawie ówczesnego rozumienia antyki wycisnął swe piętno na wszelkiej



Gułtowy. Sarkofag starościny Bnińskiej.

twórczości plastycznej tych dni właśnie. Motywy architektoniczne skoncentrowały się w kilku momentach: silniejsze zaakcentowanie narożników, gzyms główny i płyta z malowanym ornamentem meandrowym, dzieląca parter od piętra. Ryzalita środkowe dźwigają typowe, trójkątne szczyty, z których frontowy ozdobiony herbami, a od strony parku ożywiony segmentowym oknem. Nad ryzalitami bocznymi od frontu wznoszą się wystawki o nader nie zdecydowanej formie, wypełnione narzucenymi w tynku emblematami. Dwa okna kafrowe w dachu głównym od frontu, o barokowym zakroju, dopełniają ożywienia całości.

Dekoracja wnętrza była rozpoczęta nader starannie i wytwornie. Niestety, zawiera-



Gułtowy. Sala ogrodowa.

chy wojenne czasów napoleońskich przerwały, zdaje się, przeprowadzenie zaledwie podjętych prac. Tylko rząd sal na parterze od strony parku posiada projektowany wygląd. Wspinałe stiuki, gzymsy, fryzy i rozety wykonywali Włosi. Motywy, jako też technika wykonania, są nawskroś w stylu cesarstwa. Niezwykle piękny jest np. fryz z powtarzającym się motywem składania ofiary, również rozeta, której wielkie, rozwinięte liście akantowe, wyrastające

ze środkowego koła, wieńczą siedzące orły napoleońskie. Wielka sala jadalna, zajmująca prawie całe południowe skrzydło, przez wysokość parteru i piętra, posiada starą malaturę, która na ścianach i plafonie naśladuje motywy architektoniczne rzędu pilatów, względnie rzeźbionych sztukaterii.

Oprócz tych ściśle z architekturą związanych ozdób posiada dwór gułtowski kilka zabytków bardzo cennych stolarstwa, piękną kolekcję drobnych rzeźb i dość obfitą bibliotekę domową.

Zajmujący okaz rzeźby posiadają Gułtowy nadto w miejscowym kościele parafialnym. Jest to nagrobek i pomnik Franciszki Bnińskiej, starościny średzkiej. Nieboszczka, przedstawiona w pozie na pół leżącej na sarkofagu, wspiera głowę na lewej ręce, w której trzyma chustkę i łyż, płynące obficie, ociera. Prawa ręka opuszczona na dół, wskazuje na herb rodzi-

wierszu wzywa przechodnia do złożenia hołdu umarłej. Pomysł nieco niezwykły, gdyż płaczą zwykle ci, co pozostali, a nie nieboszczyk.

Gułtowy znajdują się w posiadaniu jednej gałęzi starożytnego rodu hr. Bnińskich, do których przeszły pod koniec XVIII w. z rąk rodziny Stuckich. Ignacy z Bnina Bniński, starosta średzki i wschowski, rotmistrz kawalerii narodowej i, jak prawie wszyscy Bnińscy, Targowiczanie, syn Rafała, kasztelana śremskiego, i Maryanny z Kwileckich, był nabywcą Gułtów. On też pobudował gułtowski pałac. Właściwą rezydencją magnackiego rodu Gułtowy wówczas jednakże nie były. O samym Ignacym, nabywcy Gułtów, wiemy, że posiadał równocześnie dobra Sierakowskie i klucz Biezdrowski, dawne majątności rodzinne. Również i syn Ignacego, Florenty, który wraz z innymi członkami rodziny otrzymał od rządu pruskiego dziedziczny tytuł hrabiowski, był panem na Biezdrowie. A także ojciec dzisiejszego pana na Gułtowach, a syn Florentego, hr. Adolf, oficer wojsk polskich, przebywał w Ćmiachowie. Dopiero obecny dziedzic Gułtów, hr. Seweryn, kawaler maltański, uczynił Gułtowy stałą rezydencją swoją. Zmienił jednakże stosunki, przyćmiony nieco blask dawnej świetności wielkich rodów polskich i ulubienie wytwornego spokoju przez dzisiejszego pana na Gułtowach złożyły się na to, że cisza zaległa magnacką rezydencją wśród starego parku. I wielka piętrowa sala jadalna zda się marzyć w swem dzisiejszym odosobnieniu o dawnych czasach, z których niejedno weselsze, rażniejsze echo przyległo do starych, w smukłe pilastry malowanych ścian.

KAZIMIERZ RUCIŃSKI.

Z ANTOLOGII PRZEKŁADÓW.

BRONISŁAWA OSTROWSKA:

STANCE.

JAN MORÉAS.

Lubo jest słuhać wikli, która rzewnie wzdycha,
Śród bratnich wikli w brzeźnej, śmiejącej dolinie.
Czoło w chmurach się chyli, gdy muzyka cicha
Z rozszumiałej dąbrowy pod wiatrami płynie.
Lecz jakże wobec głosu samotnego drzewa
Chóry szumów się stają niksze i liche,
Gdy w smętku pół, na które zmierzchnia taj się zlewa,
Ono idącej nocy śle swą skargę w wicherze!



PORTRET W STROJU RYCERSKIM (własność ks. Lubomirskiego)
Z wystawy starych mistrzów w Krakowie.

FRANS POURBUS (1569—1622)

WYSTAWA STARYCH OBRAZÓW W KRAKOWIE.

Znany badacz dziejów sztuki naszej i obcej, profesor Jerzy hr. Mycielski, urządza co czas jakiś wystawę dawnych obrazów, zbieranych *ad hoc* od różnych właścicieli prywatnych. Dzięki tym wystawom, obrazy wogóle najzupełniej niedostępne, a częstokroć wielką artystyczną i historyczną posiadające wartość, wracają na czas jakiś przed oczy publiczności, która dzięki temu ma sposobność zaznajomienia się z dawnymi artystami, nieraz dotąd nawet z nazwisk jej nieznanymi.

Jedną z takich wystaw otwarta jest obecnie w sali krakowskiego Tow. przyjaciół sztuk pięknych, zwanej świetlicą. Wskutek zabiegliwych starań prof. Mycielskiego, znalazło się tu na niewielkiej przestrzeni blisko 50 obrazów dawnych malarzy włoskich, flamandzkich, holenderskich, niemieckich, francuskich i polskich, z których przy-

najmniej połowę stanowią bardzo cenne dzieła sztuki, całość zaś dobrana jest z dużym znawstwem i zamiłowaniem przedmiotu.

Dzięki uprzejmości prof. Mycielskiego, możemy zaznajomić szerokie grono czytelników naszych z reprodukcjami najbardziej godnych uwagi obrazów na tej wystawie umieszczonych, które dadzą najlepsze pojęcie o jej wartości artystycznej i naukowej.

Zacznijmy od jednej z najstarszych i najlepszych rzeczy, które się na tej wystawie znajdują. Jest nią niewątpliwie „młodzieniec w zbroi” Fransa Pourbusa młodszego (1569—1622). Obraz olejny na płótnie przedstawia portret jakiegoś wysoko urodzonego młodzieńca, doskonały w charakterystyce i przepięknie aranżowany pod względem kolorystycznym.

Ciekawym reprezentantem szkoły geneueńskiej z czasów między 1630 a 1650 rokiem jest św. Sebastyan, malowany olejno na płótnie.

Za piękny obraz starej sztuki francuskiej uważać należy obraz olejny Antoniego Pesne (1683—1757), przedstawiający pasterkę z gołębiem w koszyku i pasterza.

Ogromnie wdzięczny i bardzo charakterystyczny dla doskonałego Wiedeńczyka Amerlinga (1803—1887) jest portret olejny młodej Włoszki. Pełne smaku traktowanie tego portretu i przepyszny rysunek pozwalają już z tego jednego obrazu nabrać pojęcia o zaletach amerlingowskiego pędzla.

Jedną z najlepszych rzeczy na całej wystawie stanowi bezsprzecznie Gustawa Courbeta (1819—1877) „Źródło rzeki Loue”, („La grotte de la Loue”). Należy ono do najwybitniejszych prac tego znakomitego pejzażysty francuskiego, który olśniewa tu przedewszystkiem sposobem, w jaki namalował strumień wody, wypływającej z ciemnej pieczary i rozbijającej się w kilku kaskadach.

Niepodobna także pominąć milczeniem doskonałego „Kaina” Franciszka Stucka. Obraz ten jest

szkicem do znanego dzieła tego malarza p. t. „Złe sumienie” (Böses Gewissen). Szkic ten jednak, jeżeli chodzi o główną postać grzesznika, jest kto wie czy nie lepszym, niż sam tyle chwalony obraz.

Z pośród obrazów, których reprodukcje natrafiło na trudności, bardzo cennym dla historii naszego malarstwa jest olejny obraz na drzewie Aleksandra Orłowskiego (1787—1832), na którym genialny ten hulaka przedstawił samego siebie, jak zaleca się do jakiejś nadobnej szynkareczki, a obok z zazdrością przypatruje mu się Norblin w postaci starej baby. Obraz ten ze wszech miar bardzo ciekawy i cenny będzie jeszcze przedmiotem badań prof. Mycielskiego.

Trzy dzieła Norwida, doskonały autoportret Franciszka Tepy, kilka dobrych rzeczy ze szkoły Grotgerowskiej i szereg innych ciekawych dzieł wypełnia tę przypadkową a jednak bardzo pouczającą kolekcję. △

WIECZORY TEATRALNE i MUZYCZNE.

Letnie premiery. — „Patachon”, sztuka, nazwana komedią i grana jako taka na scenie Teatru Letniego. — Komedia Artura Pinero w Małym Teatrze, gdyż „miło angielskiej sztuce przypatrzeć się czasem”. — Fenomenalna Stasia. — Nagłe i niespodziewane ukazanie się „Sonetów krymskich” na horyzoncie Warszawy. — Letnie schronisko muzyki w Dolinie Szwajcarskiej. — Echa przyszłości. — Wznowienie widowisk w Łazienkach.

Łato. Uczyniło się ciepło a nawet upalnie. Kto jeszcze na willegiatwę nie umknął z Warszawy (a jednak tak powabnej i wcale przystojnej o tej właśnie dobie słoneczności i zieloności) — ten coraz lżejsze bierze na się tualety, kostiumy, garnitury, aż do ażurowych bluzek i białych kamizelek włącznie.

Tak zupełnie, jak repertuar teatrów naszych, który coraz to staje się — lżejszym.

Do tego stopnia lekkim, że np. wystawiony jako nowość najświeższa w ogrodzie Saskim czteroaktowy „Patachon” Hennequin’a i Duquesnela mógłby śmiało figurować na repertuarze farsy i krotchwili Teatru Nowego. Istna bluzka ażurowa!

Bardzo elegancko i umiejętnie skrojona, ubrana dowcipami, z dobrego francuskiego materiału.. Ale — ani się czuje, że przesiedziało się „na niej” godzin ze trzy w teatrze. Takie to lekkie!

Zabawna sztuka. Zwłaszcza w pomysłach mocno wodewilowym. Pięćdziesięć pięcioletni papa, du Tilloy, hula w Paryżu, rej wodząc najwyższymi i olśniewającym zabawom, rozseparowany z żoną bigotką, osiadł na dewocyi i filantropii w prowincjonalnym Blois. Lecz oto rezolutna i dobra córka Lucynka postanowiła pogodzić rodziców, nawet ślubowała, że nie pierwej odda swą rączkę ukochanemu Robertowi, aż — dzieła szlachetnego dokona. No i po arcyciejszych perypetyjach niepozabawionych drastyczności, wszystko składa się jak najpiękniej. Papa du Tilloy, skruszony... wiekiem i zapowiadającą się podagrą, bierze rozbrat z Paryżem i osiada w Blois pod opieką żony; Lucynka i Robert — *enfin seuls* — odjeżdżają w podróż poślubną, a publiczność, ubawiona i zachwycona doskonałą grą artystów, rozchodzi się, klaskając rześcicie, prawie przekonana, że spędziła wieczór na lekkiej komedii.

Doprawdy, czegoż chcieć więcej na ostatnie dni czerwca?

Jeśliby zaś kto spostrzegł, że w owym lekkim „Patachon’ie” jest sporo ironii oraz satyry; że traktowany w nim lekko ciężki obraz obyczajowego rozstroju republikańskiej Francji dzisiejszej; że ów du Tilloy, birbant co się zowie, jest jakby reprezentantem czasów Drugiego Cesarstwa, *du joyeux branlebas de l’Empire*, owej starej gwardyi towarzyskiej, co miała jednak w sobie sympatyczny, krewki animusz, podczas gdy młody Ro-

bert de Revray ma już w żyłach sporo... soku malinowego — tem lepiej!

Tem bardziej podoba mi się p. Wolski w roli du Tilloy-Patachona, istotnie stylowy i właśnie mający w sobie rozbijające, sympatyczne akcenty. Bo co do zachwyty nad grą i uroczym wdziękiem p. Lubicz-Sarnowskiej, można być całkiem spokojnym. Uznano ją jednomyślnie za królową premiery i na stanowisku tem pozostanie do końca — przypuszczalnie długiego — życia scenicznego „Patachona”. Istotnie bowiem, po za czarem warunków zewnętrznych, młodziutka artystka osiągnęła w roli Lucynki śliczną już szlachetność interpretacji aktorskiej, idącą w parze ze swobodną szczerością, wdzięcznym temperamentem i bystrą inteligencją. Brawo!

Swoją drogą, przyznać wypadnie znacznie większą wartość wewnętrzną czteroaktowej komedii angielskiej Artura Pinero (bardzo popularnego dziś w Anglii autora), wystawionej prawie jednocześnie w Teatrze Małym. Tytuł jej: „Dom jego w porządku”.

Nietyle ostra to satyra, ile drobiazgowo powierzchniowa, skostniała w tradycyjnych formach, oschłej, świętoszkowej obyczajowości angielskiej, zażywającej, jak wiadomo, tak wychwalanej reputacji. Kolizja między *very correct* egoizmem, obłudą i zaśniedziałością rodziny deputowanego Filmera a młodą jego, szlachetną żoną doprowadza sztukę niemal do dramatycznego napięcia. Lecz... Pinero rychło zwraca wszystko na szablonowe tory szablonowych „powieści tómacznych z angielskiego”, od których roi się niewybredna strawa belletrystyczna przeciętnej publiczności — nie tylko angielskiej — i sztuka kończy się ni w pięć ni w dziewięć tryumfem szlachetnej Niny Filmer, której *w nagrodę* przypada... taki mąż jak Filmer, prawie potworny, a co najmniej wstrętny.

Ale, powtarzam, obraz obyczajowy, choć *pur sang* angielski — interesujący i starannie namalowany.

W interpretacji sceniczej, nader poprawnej, prym trzymała utalentowana p. Laura Duninówna, nie mając jednak osobliwego pola do popisu. Lecz atrakcję istotnie podziwu godną stanowi prawie fenomenalna Stasia Kozłowska, dziecko cudowne, biorąca duży udział w sztuce, jako synek Filmera z pierwszego małżeństwa, a grająca rolę ze zdumiewającą pewnością i inteligencją. Co to z takiej małej urosnie? Obyż urosło coś istotnie niepowszedniego.

W świecie tymczasem muzykalno-wokalnym cisza — sezonowa.

Przerwały ją na chwilę moniuszkowskie „Sonety Krymskie”, wykonane na orkiestrę, chóry i solę, pod wodzą Opieńskiego w Filharmonii a w połączeniu z deklamacją „Sonetów Krymskich” Mickiewicza, śliczną konferencją o nich wygłoszoną przez Gawalewicza, oraz pokazywaniem na ekra-



Scena z ostatniego aktu komedii „Patachon”.

nie obrazów Nałęcz, ilustrujących krajobrazami z natury mickiewiczowskie sonety. Bodaj, że właśnie obecność w Warszawie tego cyklu obrazów dała asumpt do całego owego wieczoru, poświęconego „Sonetom Krymskim”.

Ot, takie sobie *intermezzo* okolicznościowe. Muzyka dziś cała warszawska jakby też wyemigrowała na świeże powietrze, do Doliny Szwajcarskiej, o ile, rzecz prosta, mowa być może o przestworach powietrza w kotlinie owej, wypełniającej się co wieczór publicznością po brzegi.

Ale orkiestra Filharmonii praskiej spisuje się bardzo pięknie, i przeto tem większa szkoda, że nie zewsząd w Dolinie słychać dźwięków, zwłaszcza subtelniejszych. Rekompensatę niewybredną stanowią: „potoki” światła elektrycznego i osypywanie bliźnich swoich garściami różnobarwnych *confetti*...

Cierpliwości jednak. Oto jako echo przyszłości poszła wieść po Warszawie, że Wład. ks. Lubomirski zakontraktował na sezon jesienno-zimowy salę Filharmonii dla 120 koncertów, które zorganizować ma i którymi ma dyrygować Fitelberg.

Będzie tedy czego słuchać.

Teatr w Łazienkach, po trzech latach bezczynności, zbudził się i zakwitł baletem czarodziejskim „Jezioro łabędzie”. Prześliczne nocne zakwitanie, takie barwne, migotliwe, nawet dźwięczące, jak arfa eolska, w noc ciemną, po całym, śpiącym parku, przesyconym atmosferą letnich samowtór spacerów...

Ze wszystkich chyba wieczorów warszawskich widowiska łażeniowskie, jak z żywej baśni jakiejś przeniesione na wyspę pałacową, najpełniejsze są dziwnego nastroju, co go do dna *my* tylko odczuć potrafimy.

To pałace się gwałtownem światłem elektrycznym migotliwe ognisko sceny na tle drzew, pod kopułą ciemnego nieba! I ten krążący po nim „mazur” — jak wizya! I ten amfiteatr zatłoczony publicznością, odcięta od sceny smugą wody, po której cicho przepływają łabędzie...

I nagle gaśnie to wszystko, jakby zapadło się pod ziemię. Orkiestra milknie i — w cichym szezleście rozchodzącej się i rozjeżdżającej publiki rozwiewa się miraż cały.

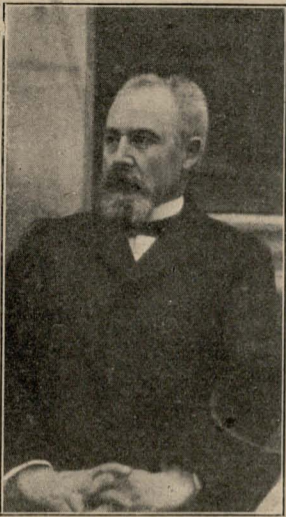
Został tylko tam, w parku, samotny, w świetle księżycy biały, jak widmo, pałacyk króla — z dawno prześnioną baśni.

CZESŁAW JANKOWSKI.

Szanownych prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego” prosimy o wniesienie opłaty na kwartał trzeci roku bieżącego.

Historyk francuski o wyodrębnieniu Chełmszczyzny.

Dnia 15 b. m. odbyło się w Paryżu, staraniem „Komitetu francusko-polskiego”, zebranie, na którym prof. Ernest Denis wygłosił odczyt o wy-



Ernest Denis.

odrębnieniu Chełmszczyzny. Prof. Denis jest jednym z najwybitniejszych znawców stosunków słowiańskich, niejednokrotnie też zabierał głos w sprawach polskich. Komitet budowy pomnika Mickiewicza w Paryżu wybrał prof. Denis na swego przewodniczącego.

OSOBISTE.

P. Henryk Galle, sekretarz literacki naszego pisma, wyjechał na odpoczynek letni do Zakopanego.

Pierwsza wystawa czesko-polska w Hodoninie.

Hodonin? Gdzie to jest?—zapyta zapewne nie jeden z czytelników, dziwiąc się, że nie zna nazwy miasta w Europie środkowej takiego, w którym wybitni malarze polscy i czescy mogą urządzić wspólne wystawy obrazów. A jednak ten Hodonin istnieje naprawdę, i to na Morawach, jest stacją kolei Północnej, leży o dwie godziny drogi od Wiednia, tylko że się dotąd nazywał po niemiecku „Goeding”. Obecnie Czesi wytyżają wszystkie siły, aby to piękne, kilkunastotysięczne miasteczko odzyskać dla siebie. I chociaż dotąd w mieście rządów jeszcze nie zdobyli, to jednak uczynili już wiele swą pracą kulturalną

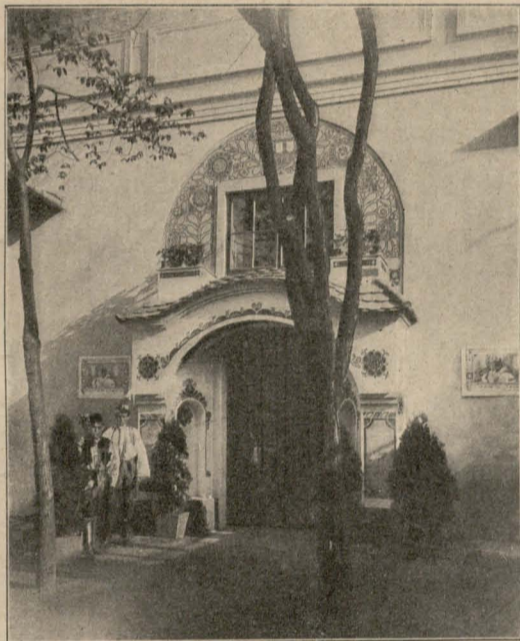
i umiejętnym skupieniem wysiłków wytrwałych w jednym punkcie.

Jednym z takich etapów na drodze do odzyskania od Niemców przastarego miasta czeskiego jest otwarta z końcem ubiegłego miesiąca wystawa „Związku artystów morawskich” (Sdružení výtvarných umelcu moravských), do współudziału w której zaproszono także artystów polskich z Krakowa, którzy zaproszenie to z zapałem przyjęli i w liczbie 13 z pp. Włodzimierzem Tetmajerem i prezesem „Sztuki”, p. Weisssem, wystawę obficie obeścili. Razem 23 czeskich malarzy i 13 polskich wystawiło w Hodoninie 162 obrazów, stanowiących zbiór i reprezentację okazałą.

Na uroczyste otwarcie wystawy zjechali artyści polscy, liczni przedstawiciele prasy polskiej i czeskiej z Berna, Pragi, Wiednia i Krakowa. Malarze wygłosili szereg przemówień, p. Tetmajer ognistą swą elokwencyą porwał licznych uczestników uroczystości, którą czeski minister rolnictwa, dr. Braf, uświetnił swą obecnością.

Na wystawie z pośród czeskich malarzy wybiła się na pierwsze miejsce Morawianin, p. Józef Uprka, ze swoimi rodzajowymi scenami, malowanymi z niezwykłym poczuciem koloru i rysunkową brawurą. Doskonałe pejzaże wystawił znany z Hagenbundu Alojzy Kalvoda. Jako portrecista, okazał się artystą bardzo poważnym Franciszek Ondrusek.

Z Polaków Tetmajer wystawił znane swoje „Świecenie ziela”, które stanowi wymarzone „pendant” polskie do słonecznych obrazów Uprki. Vlastimil Hoffman, Filipkiewicz, Kamocki, Wodzinowski, Żelechowski, Karpiński, Weiss i inni przystali również rzeczy zajmujące i oryginalne, tak, że cała wystawa hodonińska, będąca pierwszym objawem wspólności pracy kulturalnej obu narodów pobratymczych, przedstawia się bardzo okazale.



Wejście na wystawę w Hodoninie.



Otwarcie wystawy polsko-czeskiej w Hodoninie.

Król królów.

W dalekiej Etyopii zmarł panujący, który historyczną rolę odegrał w swoim państwie. Mówimy o Meneliku, *negusie negesti*, „królu królów”, cesarzu Abisynii.

Państwo abisyńskie, albo raczej Etyopia, czyli „ojczyzna ludzi o spalonych twarzach” położona jest na wschodzie Afryki, nad morzem Czerwonym. Ustój jest feudalny i skutkiem tego głowa państwa musi zawsze toczyć walki z potężnymi wasalami.

Menelik był właśnie jednym z takich wasali, królem Cnoi, zięciem cesarza Teodora. Po nieudanych z początku próbach zagarnięcia władzy najwyższej, był internowany w swoim państewku, aż po śmierci następcy Teodora, Jana, zabitego przez derwiszów w r. 1889, ogłosił się cesarzem Etyopii.

Wzmocnił ogromnie swoje stanowisko i podniósł swoją powagę przez zwycięską wojnę z Włochami. Włochy sprawowały rodzaj słabego protektoratu nad Abisynią i władę kolonią Erytreją nad morzem Czerwonym. Na podstawie traktatu w Ucciali, negus zobowiązywał się utrzymywać stosunki z innymi państwami jedynie za pośrednictwem Włoch. Z powodu wrzokowego niedotrzymania warunków traktatu wojska włoskie zajęły znaczną część kraju, a polityka ta miała za sobą poparcie Anglii.

Menelik zniósł to do czasu, póki nie wzmocnił dostatecznie swego stanowiska wewnątrz kraju i nie pobit współzawodników. Dopiero wtedy całym impetem zwrócił się przeciwko najeźdźcom i zadał im w r. 1896 pod Adą klęskę tak straszną, że położyła kres marzeniom włoskim o polityce kolonialnej. Wpływ Włoch sprowadzony został do zera, a kolonia erytrejska do niewielkiego trójkąta, opierającego się jednym bokiem o morze Czerwone z wierzchołkami w Massauah, Keren i Asmala.

W zupełnym spokoju mógł teraz negus zabrać się do reform wewnętrznych. Był on zwolennikiem cywilizacji zachodniej i w ostatnich czasach podlegał najmocniej wpływowi francuskiemu.

Przedstawicielem ich na dworze negusa był dr. Vitalien, który go charakteryzuje w następujący sposób: „Menelik zrobił Etyopię tem, czem jest dziś: mocą, bogactwem i rozwijającą się pomyślnie. Poddani rozumieją to, i ten autokraty cieszy się popularnością, której mógłby mu pozazdrościć każdy monarcha europejski. Przyczyną tej popularności jest stały kontakt, jaki monarcha zachowuje ze swoim ludem. Spotkanie go często na ulicach stolicy, jadącego na mule, bez żadnej eskorty, gotowego do zatrzymania się, jeżeli ktośkolwiek chce zanieść przed niego skargę, lub wnieść prośbę.”

Menelik był bardzo gorliwym i pobożnym Kościołem panującym jest tu koptyjski, chrześcijaństwo, przyniesione przed wiekami przez misjonarzy bizantyjskich i przystosowane do potrzeb miejscowych, między innymi do legendy na pół politycznej i na pół religijnej o pochodzeniu władców Abisynii od syna królowej Saby i Salomona, zwanego właśnie także Menelikiem. Zmarły cesarz przybrał to imię tradycyjne dopiero kiedy zawiadnął państwem; przedtem nazywał się Sahał Mariem.

Zmarł w wieku lat 67, nie pozostawiając bezpośredniego następcy. Otwiera się więc dla Abisyni i nowa era wojen domowych, a dla mocarstw europejskich sposobność do zdobyczy terytorjalnych.

Pokłosie wydawnicze.

Karol Wróblewski. Legenda Stanisława Wyspiańskiego, Lwów, 1909.

Książka niniejsza jest rodzajem szkolnego zbioru utworów literackich, przypomina poniekąd wstępy, poprzedzające szkolne wydania arcydzieł literatury. Zaczyna się więc od tytułu, przechodzi do genezy, tła historycznego, nie omija szczegółowej charakterystyki żadnej z postaci, tak realistycznych, jak i fantastycznych, rozważa „układ akcyjny tragicznej”, jak również „pierwiastki i myślowe powinowactwa”. Jeżeli chodzi o czy-



Zmarły negus Abisynii, Menelik, w otoczeniu swity. Po prawej ręce domniemany następca tronu.

telników mniej wykształconych i odczytanych, nie obeznanych z kategoriami i rudimentami estetyki pisarskiej, rozbiory podobne nie są pozbawione znaczenia i wagi.

ZMARLI.

ADAM FREDRO BONIECKI, zmarł w Warszawie, w wieku lat 67. Urodzony w r. 1842, po ukończeniu szkół i uniwersytetu poświęcił się karierze urzędniczej. Był wice-referendarzem stanu, potem sędzią pokoju pow. grójeckiego, a potem, kiedy drogę urzędową porzucił, długoletnim radcą T. K. Z. Z zamiłowania był doskonałym heral-



dykiem, opierającym prace swoje na ścisłych badaniach źródłowych. W tym kierunku pozostawia po sobie pomnikowe dzieło: „Herbarz Polski”, nie doprowadzone, niestety, do końca przez autora. Jeżeli się zważy, że ostatni wyszedł zeszyt 6-tomnemu XI i dochodzi dopiero do rodziny „Krasuskich”, to można nabrać pojęcia o wielkości zamierzonej pracy. Nieposzlakowana prawość charakteru, zasługi w pracy społecznej i naukowej zjednały zmarłemu powszechne uznanie i szacunek.

„ŚMIECH” Tygodnik humor. ilustr. HOZA 44, w Warszawie kwartalnie rub. 1, z przesyłką kwartalnie rub. 1k 25.

LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2. „ENGLISH CLOTHING HOUSE”.

MEBLE STYLOWE M. KALMUS MARSZAŁKOWSKA 141. TELEFON 28-87.

Składy na Meble „SYRENA” Krak. Przedm. 38

DERENIÓWKA



F. JANKOWSKIEGO.

BIELIZNA MĘSKA I DAMSKA K. Dutkiewicz, Ś-to Krzyska 30, w Warszawie.

MĘCZENNICZY NAUKI.

Pewien ironista zauważył, że najpewniejszym środkiem przejścia do potomości w postaci obszernego życiorysu w dziennikach lub portretu w piśmie ilustrowanym jest popełnić morderstwo lub być zamordowanym. To prawda. Przy-



Gutenberg, Szczepan Dolet i Michał Servet, wynalazca, filozof i uczyony, prześladowani za usiłowania prowadzenia ludzkości na drodze postępu.

łaczają nas poprostu wypadki bieżące, a jest to odwrotną stroną zjawiska skądinąd pożądanego, rozwoju prasy codziennej, dla której te wypadki stanowią najbardziej pożądaną pokarm.

Istnieje wszakże sfera wydarzeń, któremi pisma, a więc i ludzie interesują się mniej znacznie, a może i zgoła o nich nie wiedzą. Każdemu mniej więcej wykształconemu człowiekowi nie obce są nazwiska ludzi, którzy w dawnych czasach życie poświęcili za prawdę. A mało komu znani są ci, którzy przy współczesnych badaniach naukowych, przy pracy w imię stworzenia dla ludzkości lepszych warunków bytu, w ciszy laboratoryjnej nieraz życie składają w ofierze, bezimienni męczennicy głodu wiedzy.

W szeregu wieków męczeństwo dla nauki inne przybiera formy. Niegdyś zabijało ludzi samo przekonanie, odkrycie, wyprzedzające wiedzę współczesnych, a więc uważane przez nich za herezję. Dziś, kosztem dawnych ofiar, ustalono, mniej więcej, prawo wypowiedzania nowych poglądów. Za to pracownicy nauki stają się często łupem niezbadanych jeszcze sił natury, które w ten sposób niejako mszczą się za chęć wydarcia im ich tajemnic przez wiecznie żądny poznania umysł ludzki.

Wiekopomne odkrycia Galileusza musiały być odwołane pod groźbę spalania na stosie; wynalazca, filozof i uczyony: Gutenberg, Szczepan Dolet i Michał Servet, znoszą różne prześladowania, ponoszą cierpienia za chęć prowadzenia ludzkości po drodze postępu, dwaj ostatni nawet giną, zgładzeni przez fanatyzm religijny.

W „Lalce” Prusa jest ciekawa postać dziwaka, filantropa i wynalazcy, Geista. Niegdyś — mówi on — palono ludzi żywcem na stosie za to, że inaczej pojmowali Pana Boga; dziś za waryatów ogłasza ich akademія, jeżeli nie uznają ustalonych praw o ciężarze gatunkowym lub budowie atomistycznej.

Na długie lata przed odkryciem Pasteura dwudziestoosmioletni lekarz wiedeński, Semmelweiss, bronił tezy, że gorączka połogowa jest chorobą zakaźną, której łatwo uniknąć, zachowując niezbędną czystość przy obchodzeniu się z chorem. Za to śmiałe zdanie został przez akademię wyklęty, nie dostał obiecanej katedry ani w Wiedniu, ani w Pradze, a kiedy wreszcie osiągnął cel swych marzeń w Budapeszcie, wyniszczony walkami organizm nie wytrzymał: Semmelweiss dostał obłąkania. A teoria jego, zrazu zupełnie zaniedbana, wyszła znowu na jaw dzięki nieśmiertelnym pracom Pasteura.

Nie jest to wypadek jedyny. Nieustannie widzimy męczeństwo odkrywców praw nowych przez uczonych uznanych, ze stanowiskami.

Przejdźmy do drugiego typu męczeństw w imię nauki. I opowiedzmy na początek historię z przed setek lat, posiadającą dziwną aktualność w parę miesięcy po zniszczeniu Sycylii.

Pliniusz Młodszy był w r. 79 komendantem floty rzymskiej w Mizenii. Podczas wielkiego wybuchu Wezuwiusza posuwał się z eskortą po wybrzeżu koło Stabii. Na każdym kroku zmniejszała się liczba jego towarzyszy. Jedni padali, uduszeni wyziewami, inni uciekali, widząc bezpłodność usiłowań. Sam tylko uczyony posuwał się naprzód, wiedziony pragnieniem przekonania się osobistego, jak to jest naprawdę. Aż deszcz popiołów i lawy usypał mu grób pomnikowy, godny nieustraszonego...

Dziś, kiedy medycyna staje się coraz bardziej nauką doświadczalną, kiedy po reformach Pasteura we wszystkich krajach świata dziesiątki laboratoryjów pracują nad zarazkami chorobotwórczymi, wielu pracowników pada ofiarą swej gorliwości.

Oto weterynarz Helman z instytutu medycyny doświadczalnej w Petersburgu bada bakterie nosacizny. Uda-je mu się przygotować płyn,

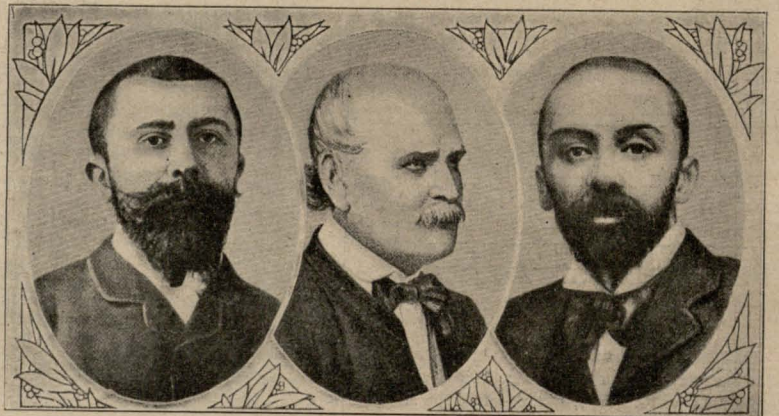
który pozwala odkrywać nosaciznę u krów, pozornie zdrowych, a przecież szerzących zarazę. Oddaje tem wielką przysługę ludzkości, ale sam zaraża się przy pracy i umiera, po kilku latach cierpienia. Praca w tym kierunku są tak niebezpieczne, że trzeba wielkiej odwagi, aby im się oddawać, a nosacizna sprowadziła już kilka zgonów w kołach uczonych.

Straszna niegdyś dżuma, „morowa dziewica”, co „czółdem przenosi białowieskie drzewa, a w ręku chustą skrwawioną powiewa”, może być dziś opanowana dzięki zbadaniu jej mikrobu. Ale przed opanowaniem — ileż ofiar! W r. 1898 służący laboratoryjny w Wiedniu, pielęgniarz przy łóżu jego, dr. Müller, który go leczył, umierają; podczas epidemii dżumy w Lizbonie, ginie przy autopsji dr. Camara Pestana; w r. 1903 w instytucie Kocha zaraża się dr. Sachs i umiera, tak samo dr. Padlewski w instytucie petersburskim i tyłu, tyłu innych.

A znana nam zblizka, jeszcze nie zupełnie

zbadana cholera? Aby ją zbadać, wysłał Pasteur ekspedycję do Egiptu, ale pierwszą ofiarą staje się jej uczestnik, dr. Thuillier. Znakomity uczyony, Robert Koch, odkrywa wibryon choleryczny. Ze wszystkich stron rzucają się na niego przeciwnicy. Najznakomitszy z nich, prof. Pettenkoffer, daje dowód odwagi niepospolitej, łyka olbrzymią ilość laseczników Kocha, ilość o wiele większą, niż tę, którą można wprowadzić do przewodu pokarmowego z wodą i pożywieniem. Dostaje tylko lekkiego rozstroju żołądka i wygrywa w sporze. Ale pozornie tylko, bo dalsze badania uznają ostatecznie lasecznik Kocha, z tem jedynie zastrzeżeniem, że może wywołać cholere zazytycką, jeżeli w przewodzie pokarmowym znajduje pomysne warunki do swego rozwoju. Dr. Pettenkoffer nigdy na żołądek nie chorował; warunki rozwoju dla lasecznika były więc niepomysne.

„Z postępowaniem czasu — mówi znakomity uczyony, prof. Miecznikow — ofiary stają się coraz rzadsze, i w interesie ludzkości leży, aby ustały zupełnie. Wobec niemożliwości rozstrzygnięcia zagadnień pewnych chorób na zwierzętach i w uzasadnionem dążeniu do usunięcia męczeństwa ludzi nauki, pozostaje jedna jeszcze ucieczka. Już w badaniu niektórych chorób doświadczania na skazanych na śmierć oddały wielkie usługi ludzkości. Dr. Husson opowiada, że król angielski, skłonny do zaszczepienia ospy swej rodzinie, kazał wypróbować operację na sześciu skazanych na śmierć. Zostali oni ocaleni, a rodzina królewska przekonała się do zaszczepienia ospy.



Dr. Thuillier, dr. Semmelweiss i dr. Camara Pestana, trzech współczesni męczennicy nauki.

„Podczas pamiętnych badań wścieklizny Pasteur napisał do cesarza brazylijskiego, Dom Pedra, list, zawierający projekt doświadczeń na skazanych. Sztucznie szczepionoby im chorobę, a następnie próbowanoby różnych sposobów leczenia. Skazani wszyscy zgadzaliby się chętnie. Skazany na śmierć obawia się tylko śmierci”.

Tak mówią uczeni i może mają słuszność. Niechby ci, którzy sprawili szkodę swemu społeczeństwu, odkupywali ją, przynosząc korzyść ludzkości.

LUCYAN RYDEL:

Pomnik pieśniarza.

Z ANAKREONTA.

Z głośnym dźwiękiem w pieśni świętej

Rzucam złote fundamenty

Pod pomnik mój, który stawię

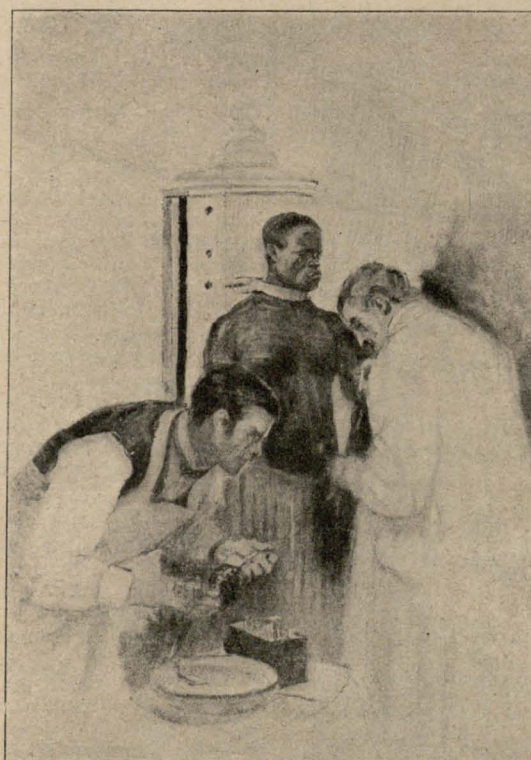
W tęczowym i śpiewnym słowie...

Chociaż Teby kwitną w sławie,

On ulic ozdobą stanie,

Kędy mają swe mieszkanie

Ludzie i bogowie...



Na wyspach Sandwich dr. Arving szczepił trąd na skazańcu, Keanu. Doświadczenie dało rezultaty bardzo pod względem naukowym doniosłe.

„Z kraju czarów i poezji”.

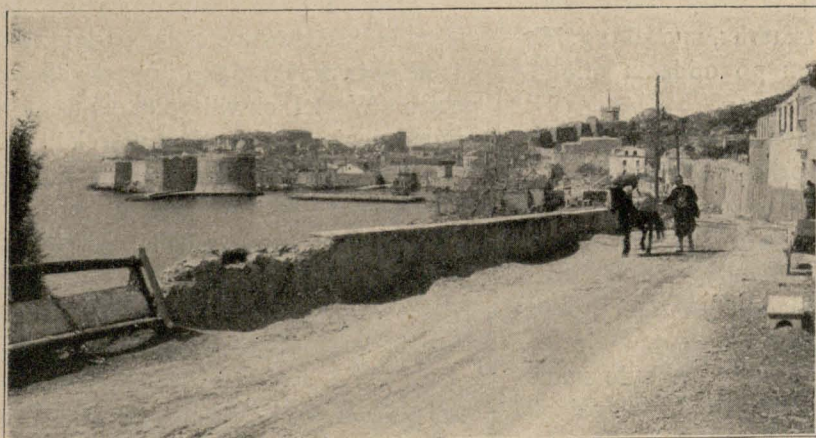
Piękny jest półwysep Krymski, powabną strojną Riviera włoską czy francuską, ale piękniejsza, stokroć bardziej urocza Dalmacja, ów kraj słowiański, prastary, który wchłonął w siebie prężną kulturę, bo i starogreckich kolonii (*Epidaurus*—dziś *Ragusa Vecchia*), i staro-rzymską, bizantyjską, wenecką ze średniowiecza, i muzułmańską, a ponad wszystko rozwinął typ i mowę słowiańską, piękną i szlachetną postawę bratniego nam szczeru, zahartowanego długoletnimi wojnami, podmuchem wiatrów morskich, kołysanego szumem fali, opalonego górską wichurą. Dziwnie bo sympatyczny jest ten Serb czy Kroat (Chorwat) o rysach szlachetnych, bujnym wąsie, wyniosłej a dumnej postawie, niedbały o zysk i zarobek, a taki przyjacielski, gościnnie, choć ubogi.

Strojny i zbrojny często, stąpa, jak król, po tych wzgórzach i połoninach, ojców krwią przesiąkniętych, a kobiety ich i dziewczęta zgrabne, smukłe, niby dawne greckie czy włoskie dziewoje, zarzucający na głowę ciężar, lub ustawiający dzban z wodą czy winem, idą jak do tańca. Wzorzysto szyte lub ciemne serdaki, haftowane przejrzyste fartuchy, białe na głowie osłony złociste, filigranowe naszyjniki i szpile, misternie rzeżane, nadają im pozór wykwintny i malowniczy. A to niebo cudowne, ta fala, mieniąca się barw tysiącem, te wyspy, jak drogie kamienie, porozrzucane ze swą szmaragdową zielenią lub ostrymi szczytami tuż naprzeciw wybrzeża, od którego je przed wiekami jakieś nam nieznanne kataklizmy poodrywać musiały! Palmy,



Dubrownik. Brama zegarowa.

oliwki, migdałowce, rododendrony, agawy wspianiałe, pinie, winnice, kaktusy, ośnieżone w dali szczyty Velebitu czy Alp Dynarskich, ruiny zamków, mury warowne, cudnie rzeźbione tury i katedry średniowiecza, szare, jakby w skale wykute domeczki w górach, a wszystko osnute opalowym mgłami, niby jakąś cudną, promieniami złocistymi



Dubrownik od strony wschodniej.

słońca przeplatana, nadpowietrzną wieków pajęczyną osłonięte—krainy.

Najlepiej jest z Fiume, Rjeki (dokąd się przez Budapeszt lub Wiedeń dojeżdża), puścić się statkiem (Ungaro-Kroaty) wzdłuż wybrzeży Dalmacji (na 562 km. wyzębione) ku południowi i, zatrzymując się co parę godzin, oglądać prześlizne miejscowości, a w niektórych zostawać na dni parę choćby. Mijamy bowiem, nie mówiąc już o mnóstwie wysp, także pełnych zabytków starożytnych lub wspianiałą ozdobionych roślinnością, grody i twierdze starożytne, klasztory i katedry średniowieczne, zamki i rozkoszne mieściny.

Jak w panoramie, przesuwają się przed okiem naszym: *Zadar*—Zara, dziś polityczna stolica kraju, *Sebenie* w skale wykute, z twierdzą w morzu skąpaną. *Splet*—Spalato, zbudowane w olbrzymi pałac Dyoklecjana, a sąsiadujące z *Saloną*, tą Pompeją dalmatyjską i *Klisem*, niezdobytą warownią na szczycie skały. Przedtem *Traù* (Trogir rzyms.) z prześlizną katedrą starą; dalej rozliczne półwyspy, zatoki i roślinnością egzotyczną umajone wybrzeża, ku starej Raguzie, tej Dubrownickiej republice, pełnej wspomnień bohaterskiej, a tak urozmaiconej przeszłości, dziś drzemającej pod łagodnym



Dubrownik. Dziedziniec pałacu rektorów.

niebem, które tu, łaskawsze prawie niż w Nizy, zimą nawet letnich dostarcza rozkoszy (średnia ciepota zimowa $+9\frac{1}{2}^{\circ}$ C.) i wybornie się nadaje na pobyt dla osób słabych lub nerwowo-rozdrażnionych, potrzebujących spoczynku, albo też pracujących umysłowo. Miasto malownicze niezmiernie, opasane grubymi murami, z twierdzą San Lorenzo, stopy nurzającą w modrej fali Adryatyku. Na skałach pobrzeżnych strzelają w górę kwitnące agawy, na stokach wzgórz rumienią się winnice soczyste, a główna ulica „Stradone”, przez całą długość miasteczka się ciągnąca, odbudowana wspianiale po strasznym trzęsieniu ziemi (w XVII w.), które omal że Dubrownika całkowicie nie zniszczyło.

Na Stradone, jak po galerii spacerowej, przechadzają się tłumy publiczności, a z okien i drzwi sklepów błyszczą i migocą barw tysiącem prześlizne tkaniny, hafty i złotnicze wyroby, bronie i kobierce wschodnie. Ludność tu mieszana bardziej jeszcze niż w innych miejscowościach Dalmacji, przedstawia najrozmaitsze typy.

Wogóle z ludem po włosku, z inteligencją tutejszą po niemiecku rozmówić się można, bo chorwacko-serbski język, choć słowiański i dla ucha miły, nie tak łatwo przyswoić się daje. Dalmatyniec, dawny bohater wojownik a żeglarz—z upodobania i zwyczaju, do pracy systematycznej, fabryczno-przemysłowej nie okazuje chęci. To też byłoby tu dużo do zrobienia i wyzyskania nie zużytkowanych jeszcze bogactw: Dalmacja, naprzykład, wybornie się nadaje do jedwabnictwa, posiadając takie, jak Japonia, warunki klimatyczne; wydatek owoców wybornych, kwiaty egzotyczne, posiada kamień i materyał na betony, wodospady potężne, jako motory ewentualne, wino, ryby, oliwę i mnóstwo klimatycznych zakątków, gdzie moglibyśmy zakładać lecznice i pensjonaty wśród precudnych krajobrazów i ludzi sympatycznych. A uczciwość tu taka, że mieszkania otworem stoją; pakunki zaś bezpiecznie na ulicy zostawić można.

Niemcy nie wszystko jeszcze zabrali, chociaż w Raguzie im się zawdzięcza wspianiałą hotel „Imperial” ze stacją klimatyczną zimową. Okolice prześlizne nęcą do wycieczek pieszo, konno, statkiem lub powozem. Jedną z najpiękniejszych chyba w świecie jest jednodniowa do Kotaru (Cattara), którego prześlizne zatoki wrzynają się aż



Dubrownik. Robotnicy portowi.

pod stopy Czarnogórze. Stąd do Cetynii dostać się łatwo. Na południe do Korfu, do Grecji ułatwiona żegluga. Stajemy „u rozstajnego obu światów proga”, a Dalmacja, jak klamra, misternie rzeżana, łączy Zachód cywilizowany z tajemniczym zawsze, wspianiałym, a tak poetycznym Wschodem.

M. ŚWIDERSKA.



Dubrownik. Fort św. Wawrzyńca.



Precz ode mnie!

KONSTANTY GORSKI

JÓZEF WEYSENHOFF:**U N I A** POWIEŚĆ LITEWSKA.

Zastrzega się prawo przedruku. 27)

Okolo pałacu znać było ruch świeżego przyjazdu: przechodził żołnierz bez broni z kuferkiem na plecach, widocznie „denschczyk”, przybrany do usług oficera.

— Przyjechał zapewne i jeszcze kogoś z sobą przytaszczył—mruknęła Krystyna nieawistnie.

Wszedłszy do domu przez boczne wejście, dowiedziała się, że gospodarz powrócił z Petersburga ze swym krewnym, Kazimierzem Chmarą, pułkownikiem.

— Niech się bawią we dwóch—rzekła Krystyna i oświadczyła, że nie wyjdzie ze swego pokoju.

Pułkownik Chmara nie pierwszy raz przyjeżdżał do Rarogów. Bratanek Eustachego, krewny też z przekonań politycznych, w trzydziestym piątym roku życia już komenderował—i to ważnym—pułkiem. Zawdzięczał wczesny awans swym stosunkom i zaletom postaci, „szczęśliwie stworzonej”. W paradnej formie mundurowej przypominał

oficerów napoleońskich. Niejedno już osiągnął powodzenie [żołnierskie i towarzyskie; przepadały za nim podobno damy z wysokich sfer, ale Kazimierz, syn Edwarda, nie był tylko rycerzem salonowym, brał swój zawód na seryo i odznaczył się nawet w bitwie pod Mugdenem. Pociągającym jego wdziękiem było i to, że się nie ożenił w Rosyi, gdzie stale mieszkał. Jako Litwin i katolik, myślał o gnieździe w kraju rodzinnym po oddaniu młodości zawodowi wojskowemu.

Myślał o tem i Eustachy Chmara, upatrując w synowcu przyszły rozkwit nazwiska. Jemu samemu bracia albo pomarli, albo się nie udali. Póki żyje, trzyma twardo w garści swój sztandar i szkatułę, ale potem...? Bóg wszechmogący i niedołączna żona pozabawili go męskiego potomka.

Tego wieczora niepodobna było namówić Krystynę, aby się ukazała w salonie. Oświadczyła, że ją zmęczyło grzybobranie i położyła się do łóżka.

Nazajutrz rano, gdy tylko odsłoniła swe okna, ujrzała jeźdźca w części parku, nie przeznaczonej zwykle na konne harce. Śledziła przez chwilę ruchy konia, dobrze opanowane przez umiejętność zgrabnego jeźdźca. Ale gdy się zbliżył, poznała pułkownika Chmarę, przebranego po cywilnemu, i szybko cofnęła się od okna. Po dobrej godzinie, gdy już dawno zniknął jej z oczu jeździec, otworzyła okno i oparła się na parapacie. W tej chwili pułkownik ukazał się z za węgła, z książką w ręku, w postaci dystygowanego turysty. Niepodobna było z nim się nie przywitać.

Zasypał zaraz panią Krystynę propozycjami:

— Przywiózł ja trębacza sławnego. Chcesz kuzynka posłuchać—a?

— Za nic w świecie.

— A wierzchem nie pojedziesz kuzynka—a?

— Nie jeżdżę już konno.

— *Un tour de parc au moins?*

I tego Krystyna odmówiła. Wtedy pułkownik spowazniał i mówił dalej po francusku:

— Pani mnie uparcie ma za obcego człowieka, a nie zgaduje nawet, jak bardzo sercem i umysłem jestem z tego kraju. *Ce n'est pas l' habit qui fait le moine.*

— Nie wygląda mi pan na Wallenroda.

— A pani czy takich oczekuje rycerzy?

— Nie oczekuję nikogo. Otworzyłam okno, żeby mieć przed sobą trochę wolnego powietrza.

— W takim razie ustępuję z pani słońca.

Ustał rzeczywiście, ze sztywnym ukłonem. Krystyna, choć dopięła swego, poczuła, że zbyt szorstko obeszła się z człowiekiem obojętnym, ale znajomym oddawna, który jej nic nie zawinił oprócz tego, że był oficerem. To też, gdy Eustachy Chmara odwiedził ją w godzinę później, pani Krystyna okazała się bardziej ugodową.

— Jakże zdrowie dzisiaj?—zapytał pan Eustachy z uśmiechem nie dowierzającym, ale uprzejmym.

— Zdrowa jestem, przyjdę na drugie śniadanie.

— Zaraz uczyni się jaśniej w domu—odrzekł Chmara, lekko skłaniając głowę.—Ucieszy się i Kazimierz, który przyjechał głównie w celu odwiedzenia ciebie, droga pani Krystyno.

Krystyna unikała wszelkich rozrzewnień rodzinnych z Chmarami, a imię Kazimierz wydało się jej teraz parodią.

— Pułkownik przyszedł tu już do mojego okna. Nie lubię tego.

— Niewczesny pomysł — godził się Chmara.—On cały taki: szczery, odważny, żołnierski. A jednak ja jemu radzę porzucić karierę wojskową.

— Doprawdy? Po cóż ją zaczynał?

— Nie z mojej porady. Teraz on sam rozumie, że dla Polaka niema w tej karierze przyszłości. A jego przyszłość bardzo mi na sercu leży; chciałem nawet o tem pomówić z tobą, droga pani Krystyno.

— Ze mną?! Nie mogę tu mieć zdania.

— A ja sądziłem, że, wszedłszy do naszej rodziny, gdzie tak wdzięcznie cię przyjęliśmy, poczuwasz się do solidarności z nami. W każdym razie prosiłbym o zdanie twoje co do Kazimierza. Jak się zapatrujesz na osiedlenie jego u nas, choćby w Rarogach?

— Ja nie rządę w Rarogach.

— A mogłabyś, droga pani Krystyno—rzekł Chmara znacząco i z naciskiem.

— Nie potrafię i nie chcę—odpowiedziała szorstko—dość kłopotu z moją Auszrą.

— Słusznie to mówisz. Ale właśnie dałoby się ułożyć projekty, wszystko załatwiająca. Kazimierz, mieszkając tymczasem w Petersburgu, mógłby pilnować tego interesu. Człowiek pewny i rozważny, zupełnie odmienny od innych załośnię lekkożylnych członków mojej rodziny. Za niego ręczę, jak za siebie. I skrzętny także: oszczędził już pewien fundusz.

Pani Krystyna, coraz jaśniej rozumiejąc projekt, coraz zimniej odpowiadała:

— Wcale nie życzyłabym sobie, aby

pułkownik zajmował się moimi interesami. Mogłyby stąd powstać plotki, których nie chcę.

— Zależy to oczywiście od twojej woli.

— Pomówmy lepiej raz wyraźnie o moim stanie majątkowym. Czyż Auszra tak zadłużona, że nie mam już nic?

— Nie mówię tego. Ale tu potrzeba głowy i ciągłych starań. Ja dużo spraw mam na swych barkach, prawie że nad siły...

— Ach, i ja o tem myślę!—rzekła Krystyna gorzko i bez współczucia.—Chcę nawet ocenić swój las, aby się przekonać, czy się nie mogę ratować bez cudzej pomocy.

Chmara, dotknięty do żywego tym zamiarem, zamknął zupełnie oczy i przeżuwał niesmacznie, aż się odezwał:

— Mógłbym w tym projekcie dopatrzeć się cudzego wpływu.

— Może być.

— A nie wiem, czy pan Władysław Sołomerecki, gdyby żył...

— Za mojego ojca proszę nie przemawiać—przerwała Krystyna—ja tylko sama mogę przeczuć, czego by on chciał.—A tutaj chodzi jedynie o sprawy pieniężne.

— Połączone wszelako z innymi względami natury etycznej.

— Wiem, mam obowiązki wdzięczności za opiekę nade mną.

Chmara wzniosł powoli dłonie i brwi, zaznaczając wyraziście, że wdzięczność mu się należy, ale nie chce o niej przypominać.

— I właśnie, aby nadal długów wdzięczności nie zaciągać, chcę się zająć sama swojemi sprawami. Dość już stara jestem, aby sama o sobie myśleć.

— Nie przeszkadzam, ale ostrzegam. Już sam zamiar taksowania lasu daje mi tu poznać cudzą spekulację. Nie chcę wymieniać nazwisk, zwracam tylko uwagę, że są tacy, którzy w celu podkopania naszego wpływu gotowi ci doradzać zgubne zupełnie plany.

— Cóż może być zgubnego w taksowaniu lasu?

— Usunięcie drogiej pani z pod naszego wpływu.

— A co to jest *nasz* wpływ?

Chmara, nie przyzwyczajony, aby go pociągano do tłumaczenia, zasępiął się; ponury zmierzch wchodził mu na twarz, ale starał się jeszcze zwyciężyć wymowną dobrocią:

— Nasz wpływ polega na doświadczenem wyrozumowaniu cudzego dobra. Powiem, skoro już trzeba: *mój* wpływ. I nie udaję, że jestem zupełnie wolny od egoizmu. Zajmując się od lat dziesięciu twoim losem, droga pani Krystyno, mam do losu tego wielkie umiłowanie, jako poniekąd do dzieła własnego. Dzieło pragnąłem dokończyć, tem bardziej nieudane próby powetować. Marzyłem zawsze, abyś nie wyszła z naszej rodziny.

— Ja zaś przeciwnie: marzę tylko o zakończeniu rachunków pieniężnych i moralnych z waszą rodziną. Nie jestem dla was stworzona—okazało się to jasno.

Ciemna twarz Chmary zaczęła drgać

złowrogo w okolicy oczów; i głos dzwijał inaczej, jakby się rwał do wybuchu:

— Nie rozumiesz pani życia, a nie dajesz doświadczeńszym planować za siebie. Związków z nami narzucać nie myślę, skoro nie są docenione. Uprzedzam o jednym: Auszra w naszym ręku ma niejaką przyszłość; w ręku obcych spekulantów jest zerem.

— O jakich pan mówi obcych spekulantach?—zapytała gwałtownie Krystyna.

— Rozumiemy się.

— Tak, rozumiem. Więc panu oświadczam, że interesy moje chcę wziąć we własne ręce.

— Proszę. Jeżeli do przyszłej wiosny Auszrę wezmą wierzyciele, nie będzie to moją winą.

— Może Bóg da, że nie wezmą. Ale ja przynajmniej wyzwolę się od was!

Chmara spojrział z podziwem, czy zachwytem na Krystynę, której nozdrza grały i zaciskały się drobne pięści.

— Za co nas pani nienawidzi?

— Za dobrodziejstwa, świadczone mnie i krajowi.

Tyran drgnął, ugodzony pociskiem, powstał z krzesła i skierował się ku Krystynie, która powstała również, nie rozumiejąc ruchu Chmary. On ocenił, że ta rozmowa może być ich ostatnią, zbliżył się szybko do płonącej wspaniałym gniewem wychowawicy, objął ją w pól i przycisnął do siebie:

— Biedne, biedne dziecko!

Chwycił pocałunek na jej włosach, skroni... aż poczuł na twarzy rękę jej, jak szpon jastrzębi, cofnął głowę—i stracił z rąk ślizką postać Krystyny.

— Precz ode mnie!

Stał jeszcze przez chwilę drżący, dziko zapatrzone, sapiąc i kiwając głową.

— Taka nagroda!...

I wyszedł. Krystyna dopiero teraz zapłakała gorzko, nie na długo. Otarła łzy, a w oczy jej wstąpił blask niezłomnego postanowienia. Zadzwoiła na służącą i kazała poprosić do siebie pannę Zubowską.

— Karuś! wyjeżdżam stąd zaraz i na zawsze!

Panna Karolina, rażona wieścią, opadła na krzesło.

— Trzeba zebrać siły, Karuś, spakować rzeczy najpotrzebniejsze i wyjechać ze mną. Na tobie się nie zawiodę.

— Ale dokąd, na miłość Boską?!

— Wszystko jedno... dowiesz się. Poślij po Sidorkiewicza.

XVIII.

Miasteczko Ponikszta obsiada parę wzgórz, stworzonych pod osadę ludzi spokojnych, a jednak ciekawych, którzy lubią ciszę w domu, lecz mogą też wyrzeć ze wzniesienia na świat dalszy, gdzie błyszczą wody jeziora, czernią się wioski i przez kraj, leniwie a rozkosznie rozłożony w słońcu, przeciąga nikła linia prosta: to kolej żelazna, która przypomina, że świat otwarty, że można, kiedy wola, wybrać się z Ponikszty do Kowna, Wilna, Warszawy, nawet do Rzymu.

Tutaj obrał sobie mieszkanie ksiądz Antoni Wyrwicz. Miał wybór między kilku

murowanymi domami; reszta osady, budowana z drzewa, była kompanią chat i dworców, rozrzuconych bez planu, które jednak złążyły się zewsząd coraz gęściej ku wysokiemu placowi, gdzie stał biały, dwuwieżowy kościół dekanalny, a obok niego murowana plebania i „altarya”, miejsce schronienia dla księży bez parafii. Ksiądz Antoni, choć zaprzyjaźniony z dziekanem, nie chciał korzystać z gościnności „altaryi”, często rojnej i gwarnej podczas odpustów. Upatrzył sobie zaciszne, romantyczne mieszkanie.

Ponikszta do połowy 19-go wieku była siedliskiem zamożnej rodziny Stetkiewiczów, obecnie podupadłej. Kupiona z licytacji przez sąsiedniego magnata, weszła w skład jego wielkich dóbr i przestała być rezydencją właściciela. Pozostał jednak po Stetkiewiczach duży dwór i park z całym urządzeniem rozległej wiejskiej siedziby, ale to wszystko opustoszałe, zagłuszone, wyglądało, jak gród zaklęty, z którego ludzie uciekli, a las go obejmował coraz ściślej ramionami śmiertelnego uśpienia. Stały jeszcze mury poronione, co rok ciemniejące; próbowano kilkakrotnie wynajmować je, choćby na letnie mieszkania. Ale wieść, że we dworze „straszny pan marszałek”, ostatni Stetkiewicz, który umarł w Ponikszcie, odstręczała od wynajmu i skazywała na powolną zagładę. Przy okólniku poza ogrodem siedział ekonom, zarządzający folwarkiem, i ten już pod strachem Bożym, z powodu bliskości parku; w zabudowaniach pałacowych nie mieszkał nikt.

(DCN)

MARYA RODZIEWICZÓWNA:

KOLEGA SZOLL.

4)

Pierwszy raz majchrem pracował. Trzeba iść, wypić mocnej, bo zimno obejmuje. Za mostem Ignac czeka. Klębiły mu się myśli bezładnie... Ile może być pieniędzy?—ciemno było, nie widział. Część schowa, zabił starego, strachu się najadł, sprawiedliwie mu się należą wszystkie. Ale Ignac go znajdzie, nie ukryje się przed nim, gotów go wydać.

Począł się trząść znowu strachem. Co z tego, że uciekł? Podejrzenie nań padnie, znajda. Zabił. Ignac go ukryje, wyśle. Ignac śmiać się będzie z jego strachu.

Wstał, zorientował się i ruszył ku miastu. Przy pierwszej latarni przejrzał zdobycz i zaklął. Było wszystkiego pięćdziesiąt rubli papierami i kilka srebrem. I poto tyle miał zachodu i zabił starego. Ogarnęła go wściekłość. Zabił, i dobrze, że zabił. Stary oszust był, mydłek, niby to dobroduszny, a fajgle chował, niech teraz przepadną razem z nim. Ignac nie uwierzy i durniem go nazwie, jak się przekona, że nic nie ukrył.

Teraz miał już latarnie przy pustej fabrycznej ulicy i zobaczył, że rękę miał obryzganą krwią. Wytarł ręce, wytarł rękaw, wytarł śniegiem twarz, przybrał powolny chód próżniaka, bo ludzie zaczęli się pokazywać, i wreszcie dotarł do mostu.

W umówionym na schadzke szynku nie zastał Ignaca. Kazał sobie dać jeść i wódki. Jadło nie przechodziło przez gardło, pił wódkę, jak wodę, jakby spragniony był ognia. Badał wchodzących, nie było Ignaca. Nareszcie wszedł znajomy, i Niekrasz go zawołał:

— Antek, nie wiesz, gdzie Ignac?
Tamten się roześmiał.
— Tyś gdzie był ten tydzień?
— Robotę miałem.
— A pilny masz do Ignaca interes?
— No!
— To się powieś. Może go jeszcze dogonisz.
— Albo có?
— Bo go onegdaj do trupiarni zawieźli!
— Jakto? Umarł?
— Po co miał umrzeć! Zarznęli go!
— Kto? Jak?
— Kto? Pewnie Rubin komu trzy ruble za to dał. A jak? Ot tak.

I zrobił ruch wymowny wydobył z za cholewy nożem, a potem sięgnął po butelkę z wódką, wypił do dna i rzekł:

— To ty fundujesz za dobrą nowinę.

A Niekrasz zbielełami od pijaństwa oczami patrzył w próżnię i widział jakby fale czarnej krwi, gęstej, lepkiej, obrzydliwej—i myślał w kółko jednoc:

— I na com to zrobić, kiedy jego już nie było! I na com to zrobić? Tylem razy chciał jego zadźgać i nie śmiałem, a zadźgałem starego. A teraz co? I nagle zwał się półciałem, głową o stół i począł wyc, skamleć. W około powstało zaciekawienie i wybuch śmiechu, gdy Antek wyjaśnił:

— A to Franek po Ignacu tak ryczy. Jak niemowlę, co od mamki odsadzą.

Posypały się koncepty, drwiny. On na nic nie zważał. Bijąc głową o stół, jęczał.

Przez tydzień pił do bezpamięci, zasypiał, i zaledwie oprzytomniał, pił znowu. Gdy przepił wszystko, traktiernik wyrzucił go pewnej nocy, jak kłodę, za drzwi, pod parkan. Ocucił go chłód, zdźwignął się i powłókt, szukać schronienia. Nie pamiętał, gdzie się włóczył, gdzie odpoczywał, o zmroku następnego dnia znalazł się na Lesznie.

Nie chciał tam iść, nie miał sił—musiał.

Nogi się uginały pod nim, mroki osłabienia, strachu, przestaniały mu oczy, zatrząsł się, przystawał, coś pchało, ciągnęło, szedł, szedł. Przeszedł na drugą stronę ulicy, spojrz zdaleka w to okno—potem ucieknie. Ale raz spojrzeć musi. Przystanął—spojrzył. Okno oświetlone było wiszącą lampą, pod nią ciemniał kontur człowieka. Niekrasz gorejące oczy wpił w ten punkt świetlany, trząsł się, zdało mu się, że widzi białą głowę starego, jego srebrną, długą brodę, krzaczaste brwi. Roilo mu się coś. Oderwał się od ściany, poszedł przez ulicę ku temu światłu, stanął tuż. Roilo mu się. Przy tokarni, pod światłem lampy, stał stary, poruszał pedał miarowym ruchem, pochylony patrzył na dło, formował kawał olszyny. Niekrasz wiedział, że to mamił, ale patrzył, bez tchu, bez ruchu, jak skamieniały.

Nagle stary oczy podniósł, cały w świetle się ukazał i wpatrzył się w niego, spokojnie, smutno. Niekrasz począł dygotać, pod-

niósł ręce, niewiadomo, skąd przyszło mu na myśl przeżegnać się. Stary skinął mu głową i ręką, wzywając do siebie. W bramie nie było nikogo, jak wtedy, drzwi sutereny nie były zamknięte, jak wtedy, w progu stał stary, drzwi za nim zamknął.

Niekrasz zwał się na ziemię bez czucia.

Gdy się ocknął, leżał na posłaniu swem dawnem, pod piecem, a stary siedział przy nim i okładał mu głowę zimną wodą.

Chciał się zerwać i ani ręką nie mógł poruszyć.

— Ojczy, to ja byłem!—wyszeptał.

Stary tylko głową skinął.

— Jezu! Nie zabiłem was!—rozległ się szept, przepojony jakby łzami szczęśliwości.

— Mnie, nie—odparł z cicha stary.

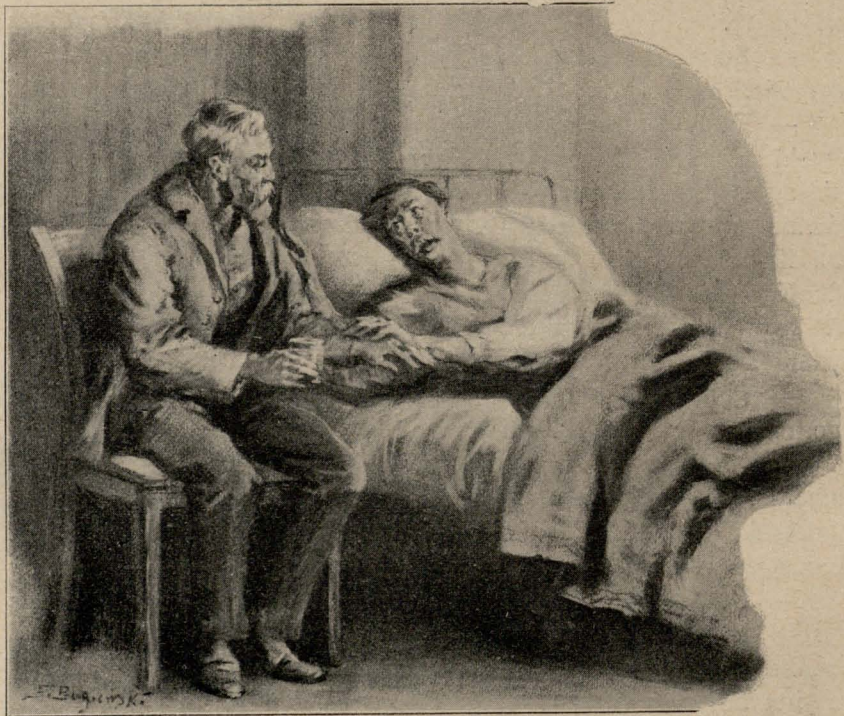
— Zabiłem! Kogo?

— Szolla.

— Jezu! Zabiłem!

— Nie, nie. Ranieś. Leży w szpitalu. Wyżyje.

Do oczu Niekrasza napłynęły łzy i po-



Stary tylko głową skinął.

ST. BAGIEŃSKI

częły biedz jedna za drugą na spalone żarem policzki.

A stary z cicha mówił:

— Pół roku siedział niewinnie w więzieniu. Przyszedł do mnie, sam został, zmęczony, nędzarz. No—i nieszczęście się stało, Szwagier nieszczęśnik winien.

— Szwagier nie żyje.

— Wiem.

— Ojczy, wziąłem pieniądze, przepiłem, was zabić chciałem, Ignaca spółnik jestem... Do kryminału oddacie, jeśli nie zdechnę.

— Cicho, cicho. Śniło ci się, pijany byleś, teraz gorączka cię bierze. Nie bój się, wyżyjesz i ty.

— Łgałem. Szoll mnie nie zna. A jeśli i wyżyje, to czem będę? Stryczek dla mnie, albo majcher!

— Cicho, cicho. Nikt nic nie wie, nikt się nie dowie. A ty będziesz kolegą Szolla. Takeś chciał przecie.

Niekrasz załkał tylko i spalone wargi przytulił do twardej ręki starego.



ODPOWIEDZI

OD REDAKCYI.

P. St. Osieckiemu w Piotrkowie. Nie możemy dać Panu informacji na pytanie Pańskie. Każda księgarnia załatwi zamówienie Pańskie, byle miała ściśle oznaczoną cenę książki.

P. S. W. w Krakowie. Wiersze Pańskie nie wznoszą się ponad poziom przeciętnej poprawności, chociaż są dość zręczne.

Mazurowi. Nie wydrukujemy „Mojego szczęścia”; są w nim pewne usterki stylu i wiersza.

Czytelnikowi z Belgii. Adres p. Władysława Muśnickiego: Warszawa, Marszałkowska 78.

Prenumeratorowi z Krakowa. Adres prof. Ignacego Chrzanowskiego: Senatorska, 33.

Prenumeratorowi E. S. z Dorpatu. Żałujemy niezmiernie, ale nie możemy spełnić życzenia Sz. P. z powodu braku miejsca. *Tygodnik* zresztą nigdy tego nie robił.

P. Irenie K. w Monte Carlo. Wiersza p. t. „O zmroku” nie zamieścimy z powodu przepełnienia teki redakcyjnej.

P. Z. H. B. Adres: Maryan Gawalewicz, Wielka 23. Józef Weysenhoff: Chmielna 31.

Gabryelowi Tadeuszowi H. w Krakowie. Wierszy Pańskich nie wydrukujemy z powodu nie dość wyrobionej formy literackiej.

Lewek-sni. Dziwne Sz. P. ma żądania: by ten pierwszy wiersz Pański zamieścić w najbliższym numerze! Ani w najbliższym, ani w żadnym, bo wiersz zdradza brak wyrobienia literackiego, choć nie jest bez pewnych zalet.

P. Augustowi Sfinksowi. „Skarga” słaba pod względem literackim. Nie zamieścimy.

Ark. Nie zamieścimy.

Czytelnikowi z Jarosławia. 1) Ulgi w prenumeracie za *Tygodnik* dla nauczycieli w Galii mogą dawać tylko nasze agentury, albo też bezpośrednio nasza administracja w Warszawie. Księgarnie pomniejsze nie są obowiązane do ustępstw. Prenumerata bezpośrednio od nas wynosi dla nauczycieli rb. 8 rocznie z przesyłką pocztową. 2) Za dodatek powieściowy, wychodzący w arkuszach i dołączany co tydzień do każdego N-ru, nie dopłaca się. 3) Dodatek obecny nosi tytuł: „Z życia cesarskiej Eugonii”. O dalszych Redakcja da wzmiankę we właściwym czasie.

Prenumeratorowi z Wilna. Adres Kazimierza Tetmajera: Truskawiec, wila Kazimiera.

Prenumeratore. Żąda Sz. P. od nas rzeczy trudnej: wskazywać najlepszych pism w pewnym dziale nie możemy, gdyż 1) „najlepszość” jest rzeczą względną, indywidualną, 2) reklamować jedno pismo kosztem drugich byłoby z naszej strony rzeczą niekoleżeńską i nietaktowną. Katalogi pism—w każdej księgarni.

P. Kazimierzowi S. w Moskwie. „Samotność” nie jest bez zalet literackich, ale dla nas nie nadaje się.

P. Adamowej Mr. w Krakowie. „Współczesnej Psychy” nie wydrukujemy z powodu braku miejsca.

P. T. B. Treść i forma nazbyt popolite. Nie zamieścimy.

Prometeuszowi. Wiersze bardzo słabe. Nowelka trochę lepsza, ale styl bardzo nie wyrobiony.

J. M. w Siedlcach. Adresu rodziny ś. p. Ludwika St. Licińskiego nie znamy.

Prenumeratorowi z Kłębówki. Łańcut rodzaj męski, a więc w Łańcutcie, do Łańcuta i t. d.

P. Maryanowi K. Jakimowiczowi. Nie zamieścimy.

P. Sc. S. Wierszyki Pańskie odczytaliśmy z prawdziwą przyjemnością; oczywiście, brak im wyrobienia, oglady, wytworności i pewnej ręki we władaniu środkami artystycznymi, ale są pewne przebłyski, które przy ich kultywowaniu (za pomocą lektury arcydzieł piśmiennictwa i kształcenia umysłu) mogą się jaśniej rozpalic.

Prenumeratore. Stały adres Ignacego Padarewskiego (nie Padarewskiego) — w Szwajcaryi: Morges, sous Lausanne. Stamtąd przesyłać mu list polecony, w razie gdyby przebywał gdzieindziej.

P. K. W. Nadesłanego łaskawie wiersza nie zamieścimy.

P. J. P. Przekładów Pańskich nie zamieścimy. Forma nieco szwankuje.

P. Zenonowi Roj. Wiersza „Na cmentarzu Montmartre” nie zamieścimy.

„*Wielbiciele Sienkiewicza*” Komplet dzieł Sienkiewicza oprawnych w płótno zielone kosztuje rb. 27.50. Wszakże tom 15, zawierający I część „*Połanieckich*”, zupełnie wyczerpany, wyłączyć więc trzeba 8 tomów tej powieści Rb. 2,40,— reszta kosztuje zatem Rb. 25,10. Za przesyłkę, porto wynosi kop. 80 od seryi, czyli ogółem od pozostałych 73 tomów rb. 3.60. Ogółem koszt z przesyłką rb. 25.10 + 3.60 = rb. 28.80.

P. L. Różyckiej w Zamościu. Nie!



Z OGRODU SASKIEGO.

— Dzień dobry radcy, jakże tam zdrowie?
— Tam dobrze... tylko głowa mnie trochę boli.

Rys. Fr. Kostrzewski.

Stalemu i staremu prenumeratorewi. Pisarzom tej miary, co autor artykułu, o którym Sz. P. wspomina w swym liście, zwykliśmy pozostawiać swobodę w wypowiedzianiu sądów i poglądów, choćbyśmy nawet ich nie podzielali. W swoim czasie może powrócimy jeszcze do tej sprawy.

P. W. A. R. Wiersze Pańskie pod względem formy pozostawiają wiele do życzenia. Nie dla nas.

„*Baśń tężowa*”. W samej rzeczy, rymy nieco „kulawe”, a i styl i ortografia szwankują („okrótka”, zam. „okrutna”).

P. Janowi Wir. „Na cmentarzu” rzecz bardzo słaba pod względem stylowym.

P. E. D. w Zakopanem. Z łaskawie nadesłanego rękopisu: „Marsz weselny Griega” nie skorzystamy.

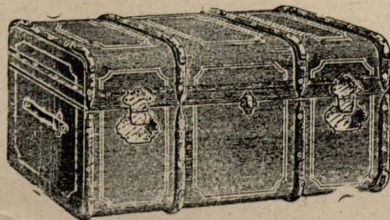
NADESŁANE.

PARFUM DE LUX
RÉVE CHERI
ROYAL ORCHIDIA, ROYAL BOUARDIA
FPROCHASKA PRAGUE.



IDEALNY POKARM

dla niemowląt i dla dorosłych,
dotkniętych chorobą żołądka.



Zdzisław Zdanowicz

Kraków, ul. Sławkowska 3.

poleca w wielkim wyborze

Kufry, Necessery, Plaidy.

Sergo KALODONT

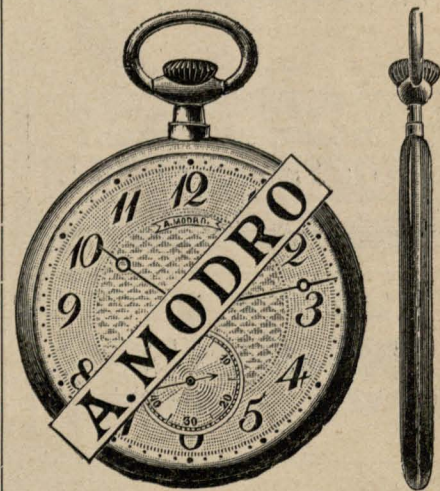
Niezbędny krem do zębów
Utrzymuje zęby białe, czyste i zdrowo.

Żądać wszędzie

Poleca własnego wyrobu **Kakao** w proszku,
G. G. LARDELLI Czekoladę **Mleczną Unique**, **Czekoladki Deserowe**, oraz Wyroby
Boduena 5. Nowy-Swiat 27. Cukiernicze.

KSIĘGARNIA FR. RACZKOWSKIEGO W LUBLINIE, Krak.-Przedmieście 36
przeszła na własność **GEBETHNERA i WOLFFA**.

PATKOWSKIE ORYGINALNE, B. PŁASKIE
I W BRANSOLETACH



BUDZIKI KIESZONKOWE NIEZBĘDNE DLA LUDZI PUNKTUALNYCH, TOWAR PIĘKNY SOLIDNY
GWARANTOWANY.
PIERWSZE ŹRÓDŁO! CENY FABRYCZNE.
Warszawa, Marszałkowska 151.

MAGAZYN KRAWIECKI
SZWAŁBE SACHISKA
ANGIELSKIE PALTA; GARNITURY
GOTOWE I NA OBSTALUNEK
SENATORSKA 8. TELEFON 6717.

ODPOWIEDZI

I RADY POUFNE DLA PAŃ.

P. W. B. Centralne Laboratorium Chemiczne, Chmielna 43.

Paulinie Z. Środków wewnętrznych na schudnięcie nie zalecamy, rzecz to lekarzy, tem bardziej, że, działając z zewnątrz, również można usunąć zbytek tłuszczu, i to z żądanej części ciała. Angielskie mydło *Gossa*, stosowane ściśle według przepisu, dołączanego do każdego kawałka, daje rezultat pożądanym w przeciągu trzech tygodni. Zapewne w każdej perfumeryi, najprawdopodobniej u Paszkowskiego, Marszałkowska 109.

Zropczonęj. W lecie zwykle włosy więcej wychodzą. Czysto trzymać, nie dopuścić do tworzenia się łupieżu. Esencja *Tataro-Chmielowa* Centralnego Laboratorium Chemicznego w zupełności temu zapobiegnie. Czesać się tylko swoim własnym grzebieniem, który często myć należy, dolewając do wody niewielką ilość wyżej wspomnianej Esencji.

Dz. w Tarnowie. Dziękujemy za uznanie. Przedewszystkiem polecamy wyroby nasze, o ile naturalnie są warcie tego. *Karpińskiego* mydło *neutralne* jest bez zarzutu. Łatwiej sprządnąć ze Lwowa. *P. Pawłowski*, ulica Sykstyńska 43, uprasza nas listownie o poinformowanie Czytelniczek, że postanowił mieć na składzie wszystkie wytwory, przez nas zalecane, a więc naturalnie i mydła *Karpińskiego*.

Paniom: K. B. Wz. i Ben... Opaleniznę, żółte plamy i piegi radykalnie usuwa *Lanol Klimeckiego*. Skóry nie drażni, jeśli używać stopniowo coraz silniejszy, poczynając od Nru 1.

P. Pal... Nie możemy dla braku miejsca pouczać szczegółowo o stosowaniu *Abaridu* do rozprowadzenia zmarszczek na twarzy. Reprezentanci jednak tego środka prawdopodobnie na żądanie udziela chętnie objaśnień dokładnych listownie lub ustnie. Adres *Perfection*: Szpitalna 10.

Kamilli. Nie znamy. Zalecamy tylko rzeczy wypróbowane i uznane.

Mercedès.

FORTEPIANY, PIANINA, PIANOŁE
ORGANY, MELODYKONY
GEBETHNER i WOLFF
Warszawa, Krak.-Przed. 15

LUDWIK SZUFA
KRAWIEC
KRAKOW TELEFON 671

VENUS puder uznany na wystawach higienicznych jako nieszkodliwy i polecony dla PAŃ jako najlepszy puder krajowy.
PIEGI pryszczę, plamy i liszaje usuwa crem **VENUS** idealnie skuteczny środek.
AGATOL proszek, eliksir i pasta do ZĘBÓW o silnym aromacie i własnościach przeciwnilnych.
Poleca Laboratorium St. GÓRSKIEGO, LESZNO 12, Telefon 52-34. Żądać wszędzie.

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ **BRONZY** SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIĘSCIE **Nr 15** Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcyi, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.

KARPIŃSKIEGO
KREM OGÓRKOWY MATOWY
Cena 60 kop:
Laboratorium Chemiczno-Farmaceutyczne
Fr. Karpińskiego
w Warszawie Elektralna 35. Telefon 600.
Żądać wszędzie.



CZYŚCI I WYBIELA KAPELUSZE SŁOMKOWE I PANAMSKIE

SŁOMIN

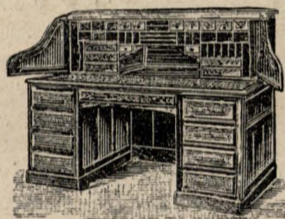
Centralnego Laboratorium Chemicznego. Za pomocą tego środka oczyszcza się momentalnie kapelusz i nadaje mu wygląd nowego. Plecionka nie przez to nie cierpi i nie twardnieje. Formę kapelusza zaraz po oczyszczeniu zmienić można wedle upodobania.

Najlepsza Pasta do Obuwia **„INTRYGANT”** żądać wszędzie
H. Trembińskiego



L. MARCHOWIECKI Krak.-Przedmieście 23
(vis à vis pom. Mickiewicza)

Poleca: Skórzaną galanterię, przybory podróżne, ozdobne albumy, obuwie letnie, pudła fornerowe, etc. Wyrób własny, ceny niskie.



KOMPLETNE

Urządzenia biurowe
KAROL F. FIŚER

Warszawa, Mazowiecka 10.



Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

SKŁADY NUT
GEBETHNERA I WOLFFA

W WARSZAWIE,

Nowo-Sienna 9 (róg Zgoda) Krakowskie-Przedmieście 15

Polecają

WIEDEŃSKIE tanie wydawnictwa
nutowe w tomach
„UNIWERSAL-EDITION”

Dzieła kompletne klasyków w najnowszym opracowaniu, jak również kompozycje **Richarda Straussa, Maxa Regera i wielu innych** w układzie na wszystkie instrumenty oraz do śpiewu.

„Universal Edition” zastępuje niemieckie wydania Petersa, Litolla i inne.

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

Księgarnie Gebethnera i Wolffa

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.

KSIĘGARNIA

GEBETHNERA i WOLFFA

w Warszawie

poleca:

WYBÓR POEZJI

ARTURA OPPMANA (OR-OTA)

wydanie nowe zmienione i powiększone, z portretem autora.

Cena rb. 1.50, w ozdob. opr. rb. 2.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

ZDROWIE niezniszczalne można pozyskać przez ćwiczenia psychofizyczne, opisane w nowym dziele **WINCENTEGO LUTOSŁAWSKIEGO** p. t. „ROZWÓJ POTĘGI WOLI”, wydane nakładem Gebethnera i Wolffa. Cena w oprawie rub. 1.20.

Dr. JAN KIEŁKIEWICZ

Choroby dróg moczowych. Oświetlanie pęcherza i cewki dla celów dyagnostycznych i leczniczych, do 10 rano i od 5-7 p. p. Ul. NOWOGRODZKA 37.

Dr JAN LATINIK

ordynuje od maja do października w KARLSBADZIE „Raphael”.

KSIĘGARNIA Fr. RACZKOWSKIEGO
LUBLIN, KRAKOWSKIE-PRZEDMIĘSCIE 36,
pierzela na własność
GEBETHNERA i WOLFFA.

SALON „ARS”

Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro).

Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprzedaż obrazów najznakomitszych artystów polskich. Salon otwarty codziennie od 10 do 1 i od 2 do 5.

Agentura nasza w Łodzi

„PROMIEN”

ulica Piotrkowska № 81

Telefon 1200

Przyjmuje prenumeratę i ogłoszenia na rok 1909.

